POLAK
W BRAZYLJI
Pismo tygodniowe -- dla wszystkich--

16 Kwietnia 1909 r. REDAKTOR I WYDAWCA KAZIMIERZ WARCHAŁOWSKI. Rok V Nr. 16

POLAK W BRAZYLJI

kosztuje:

Rocznie.	8 milr.
Półrocznie	4 milr.
W Królestwie Polskim i Rosji	7 rubli
W Niemczech	14 marek
W Austrji	16 koron
W Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej	3 dolary.

Numer pojedyńczy kosztuje 200 rs.

Drobne ogłoszenia po 200 rs. za wiersz lub jego miejsce.

Adres dla listów i przesyłek pieniężnych:

„POLAK W BRAZYLJI“

Caixa postal Nr. 122

CURITYBA — PARANA — BRAZIL.

UWAGA. — Przesyłki pieniężne i wszelką korespondencję do Redakcji należy adresować, jak podano wyżej, — BEZ DODAWANIA JAKIEGOKOLWIEK NAZWISKA, gdyż adresowanie imienne sprowadzić może niepożądane opóźnienia w odbiorze listów. —

PRENUMERATĘ „POLAKA W BRAZYLJI“ przyjmują na warunkach redakcyjnych p. p.
Bolesław Kłossowski — Ponta Grossa.
Antoni Jakubowski — Agua Branca.
Józef Dytz — Ijuhy.
Paweł Tymoteusz Wielewski — Lucena.
Paweł Miecznikowski — Rio Claro.
Józef Brudziński — Rio dos Patos.
Jan Zwierzykowski — Sw. Barbara.
Wincenty Hamerski — Guarany.
Władysław Szulczewski — S. Feliciano.
Antoni Kurkiewicz — Rio Negro.
Edward Stelczyk — Porto Alegre.
Antoni Wnorowski—Miguel Calmon.

Redakcja mieści się

przy placu TIRADENTES Nr. 31

TELEFON N. 167

Redakcja otwarta codziennie od 8 rano do zmroku z wyjątkiem niedzieli.

OD REDAKCJI.

Upraszamy wszystkich naszych czytelników o przysłanie nam możliwie szczegółowych danych o warunkach życia na kolonjach. Praca zaczęta przez nas może być z powodzeniem uskuteczniona jedynie przy współpracownictwie większej ilości osób. Im więcej będziemy mieli materjałów, tem lepiej będziemy w stanie wywiązać się z zadania. W razie jeżeliby kto zauważył jakie braki lub niedokładności w naszej pracy, prosimy o przysłanie nam swych uwag i sprostowań, z których z wdzięcznością skorzystamy.

Kolonje polskie w Paranie.

(Ciąg dalszy.)

MUNICYPJUM UNIÃO DA VICTORIA

Stolicą municypjum jest miasto Porto União da Victoria. Założone ono zostało przez pułkownika Amazonas Marcondes na brzegu rzeki Iguassu w tym punkcie od którego staje się ona spławną. Porto União jest stacją kolejową linji São Paulo-Rio Grande, prócz tego połączone jest dobrym traktem strategicznym z miastem Palmas.

W samym mieście mieszka zaledwo 10 rodzin polskich. Jedna z największych w Paranie garbarni należy do spółki polskiej p.p. Grollmana (z Królestwa) i Schmidta (z Galicji). Produkcja roczna garbarni wynosi około 90 tysięcy milrejsów. Spółka ta oprócz garbarni posiada zakład rymarski, duży sklep, osiem alkrów gruntu i wodospad, którego siła ma być zużytkowana dla oświetlenia elektrycznego miasta. W przedsiębiorstwach tej spółki znajduje zatrudnienie 20 ludzi polaków i rusinów. Tu również znajduje się jeden z najlepszych hoteli w Paranie—p. Bilskiego z Królestwa. P. Bilski jest szewcem z zawodu i oprócz hotelu ma swój warsztat szewski.

W municypjum znajdują się następujące kolonje: 1) GENERAL CARNEIRO. Ta nazwa obejmuje właściwie dwie kolonje rozdzielone rzeką Jangada. Kolonje te leżą na trakcie do Palmas w odległości 36 kilometrów od União da Victoria. Kolonja leżąca na prawym brzegu nosi nazwę Jangada, kolonja zaś na lewym — Estrada de Palmas. W obu tych kolonjach mieszka 40 rodzin polskich i 160 rusińskich. 2) ANTONIO CANDIDO. Kolonja ta leży nad drogą do Palmas. Posiada 109 lotów. Mieszka tam 23 polskie rodziny i 60 rusińskich.

3) ALBERTO DE ABREU, kolonja założona na ziemiach należących do municypjum, posiada 88 lotów, zajętych przeważnie przez polaków. Prócz tego znajduje się tu parę niewielkich kolonji jak: SANTA MARIA—11 polskich rodzin i 44 rusińskich, SANTA ROSA —7 rodzin polskich i OS TOCOS—10 rodzin polskich i 30 rusińskich.

Żywioł polski w tym municypjum jest pomieszany z żywiołem rusińskim. Bardzo często wynikają między polakami i rusinami zatargi, które czasem rozstrzygają się z bronią w ręku.

W Porto União i okolicy od 12 lat istnieje towarzystwo Macierzy szkolnej. Posiada ono dom w Antonio Candido i zbiera fundusze na otworzenie szkoły. Szkoła ta będzie miała na celu nie tylko ogólne wykształcenie, ale także i fachowe—rzemieślnicze. W zeszłym roku już było przygotowane drzewo na budowę szkoły. W budynku szkolnym ma się mieścić także sala dla zebrań, odczytów i przedstawień teatralnych. Religijne potrzeby polaków zaspokaja przyjeżdżający z Palmas ksiądz niemiec.

MUNICYPJUM YPIRANGA

Stolicą municypjum jest miasteczko Ypiranga, oddalone o 54 kilometry od miasta Ponta Grossy, z którym go łączy droga kołowa. W samym miasteczku, jak i w okolicach, polaków jest bardzo niewielu. Municypjum to jednak jest dla nas ważnem z tego względu, że tam znajduje się założona niedawno kolonja Miguel Calmon*) do której udaje się większość polskich emigrantów, przybywających w ostatnich czasach do Parany. Prawdopodobnie w bliżkiej przyszłości to bezludne prawie obecnie municypjum, zaludni się. W municypjum tym znajduje się wiele ziemi rządowej, brak której tak dotkliwie daje się odczuwać na Lucenie, co da możność kolonistom łatwo powiększać swoje gospodarstwa.

Ziemia na kolonji Miguel Calmon należy do najlepszych gleb w Paranie. Ziemie przeważnie leśne. Piniory znacznie przetrzebione przez osiadłych tu od kilkunastu lat brazyljan, lecz za to jest obfitość drzewa różnych innych gatunków jak: imbuja, canella, cedra, jacaranda, monjolleiro, oraz masa innych, poszukiwanych przez stolarzy, cieśli i stelmachów.

Kolonja Miguel Calmon najpierw nosiła nazwę Bom Jardim—tak się nazywa znajdująca się w pobliżu kolonji osada, lecz ledwo się ta nazwa przyjęła, gdy przechrzczono kolonję na Miguel Calmon, w cześć brazylijskiego ministra rolnictwa, Miguel Calmon du Pin e Almeida.

Taka częsta i zupełnie niepotrzebna zmiana nazw miejscowości, lub ulic miasta, należy do zjawisk zwyczajnych w Brazylji. Jest ona przyczyną bardzo wielu utrudnień i niedogodności przy orjentowaniu się w geografji kraju. Jedna i ta sama miejscowość figuruje w różnych źródłach pod różnymi nazwami.

Kolonja Miguel Calmon jest oddalona o 85 kilometrów od Ponta Grossy końcowego punktu kolei Paranagua—Ponta Grossa i początkowego — kolei São Paulo-Rio Grande do Sul. Do Ponta Grossy prowadzi gościniec, przechodzący przez Ypirangę.

Z Ponta Grossy do Ypirangi chodzą dyliżanse cztery razy na miesiąc. Z baraków w Ponta Grossie kolonistów przewożą na kolonję wozami.

*) Szczegółowe informacje o tej kolonji znajdujemy w „Polskim Przeglądzie Emigracyjnym“.

- *Wyspa pływająca.*

Dokończenie.

Z nieopisanym wzruszeniem śledzili każdy obrót wysepki. Dzień zbliżał się szybko, ale zimno nocne, zwiększające się zwykle przed wschodem słońca pomnażało gęstość mgły, która bałwaniła się nieprzejrzanymi kłębami.

Ogniska płonące na brzegach, wydawały się zdala jak czerwone gwiazdy, biedniejące w morzu purpurowego światła budzącej się zorzy. Z tej strony myśliwi nie mieli się czego obawiać, ale inne niebezpieczeństwo zagrażało im.

Kępa jakkolwiek lekko posuwała się po wód powierzchni, ale jej pływ był bardzo powolny, wspomagany tylko ruchem wirowym. Obracając się tak ciągle, mogła zejść z prostego kierunku i przybić do jednego lub drugiego brzegu: obadwa zaś były gęsto obsadzone zbrojnymi Indjanami.

Jak majtkowie, miotani burzliwymi bałwanami, na statku pozbawionym masztów i steru, z trwogą oczekując lada chwila uderzenia o podwodne skały, tak trzej nasi strzelcy, za każdem zboczeniem spodziewali się wpaść w ręce Apaszów.

Mexykanin zbladł, Hiszpan smutno pochylił głowę.

— Odwagi! odwagi!—szeptał nieustraszony starzec; — dopóki nie ujrzymy wierzchołków drzew rosnących na brzegu, niema czego rozpaczać.

— Lękam się, że je lada chwila ujrzymy— zawołał Hiszpan.—Patrz! patrz!--dodał wskazując na brzeg południowy—czy widzisz?

W istocie przez oponę mglistą przebijały się niewyraźnie zarysy wysokich topcli, jakby jakieś olbrzymie widma.

— Tak — rzekł wzruszonym głosem Kanadyjczyk — wychodzimy z kierunku, a ognie rozłożone na brzegu wyraźnie okazują żeśmy niewiele upłynęli.

A kępa coraz więcej i więcej przybliżała się ku fatalnemu brzegowi. Już jedno z ognisk powiększyło się znacznie a przy blasku wyraźnie rysowała się posągowa postać czaty indyjskiej. Długa bawola grzywa spływała z karku wojownika, a na głowie sterczał pióropusz zwieszający się jakby z rzymskiego hełmu.

Kanadyjczyk wyciągniętym palcem wskazał towarzyszom groźnego wroga. Szczęściem mgła zanadto była gęsta, aby bystry wzrok Apasza mógł przedrzeć jej tumany. Naraz Indjanin wstrząsnął gęstą grzywą, wbił dzidę w ziemię, schylił się, przyłożył ręce do uszu, jak to czynią ludzie chcący coś rozeznać w ciemności.

Zbiegli zadrżeli, ciała ich zmartwiały; zaledwie odważyli się oddychać, śledząc szpiegującego Apasza.

Wtem Apasz poskoczył ku brzegowi i zniknął. Straszna chwila oczekiwania zdawała się wiekiem zwątpiałym strzelcom. W kilka minut potem rozległ się donośny krzyk puszczyka, wreszcie wszystko ucichło. Znać niebyłto znak trwogi, ale zwykłe czat nawoływanie. Dziki powrócił do ogniska, a wyrwawszy z ziemi utkwioną dzidę, przybrał dawną postawę.

Ale niebezpieczeństwo nie przeminęło wcale, gdyż coraz bardziej przybliżali się ku brzegowi.

— Jeżeli tak dalej pójdzie — szepnął stary strzelec — to za pięć minut Apasze rozpoczną z nami śmiertelny taniec.

Hiszpan nic nie odpowiedział, lecz rzuciwszy gałązkę na wodę, z największą niespokojnością śledził w jakim popłynie kierunku. Gałąź kręciła się parę minut w miejscu, ale potem spłynęła na środek rzeki. Strzelcy zamienili radosne spojrzenia. Wkrótce też kępa podążyła za gałązką. Opony mgliste po obu stronach stawały się coraz nieprzezroczystszemi, a silny prąd wody pomiósł wysepkę samym środkiem koryta.

Wśród trwogi i nadziei upłynęła dobra godzina. Dawno już ogniska indyjskie zniknęły w wyziewach. Strzelec z Kanady stanął teraz na tylnym końcu wysepki, a wyłamawszy dużą gałąź, zaczął nią niby sterem kierować tratwę; obadwaj towarzysze wiosłowali z boku, a kępa pędem strzały płynęła.

— Wkrótce już brzeg zajaśnieje — mówił stary—przybijemy do brzegu południowego i puścimy się pieszo w góry, gdzie nas nie dosięgną czerwone djabły.

Skierowana na lewo tratwa wnet uderzyła o brzeg skalisty.

Myśliwcy wskoczyli w płytką wodę i połączonemi siłami rozerwali pnie składające wysepkę, spychając je na środek wody. Odbywało się to z nieporównaną szybkością, tak że w parę minut nic nie pozostało ani szczątka ze zbawczego statku.

-- O dzięki Ci, dzięki Wszechmocny Boże— zawołał Kanadyjczyk, zdejmując czapkę i upadając na kolana. Poczem powstał i rzekł:

— Naprzód! godzinę jeszcze pójdziemy łożyskiem rzeki, a jeżeli zdołamy wydostać się na góry, zanim nieprzyjaciel spostrzeże, nasza wygrana; mogą sobie wówczas ścigać za nami na koniach po urwiskach skalistych, jeżeli się na nie wdrapią.

Wędrówka rzeką była bardzo uciążliwa. Po trzech kwadransach drogi, brodząc nieraz do pasa, natrafili nareszcie na ujście potoku górskiego, płynącego skalistym jarem. Szli więc środkiem strumienia, wdzierając się coraz wyżej, w nadziei, że Apasze będą ich ścigać z biegiem rzeki, myśląc że uchodzą na kępie.

Kiedy pierwsze promienie wschodzącego słońca pozłociły wierzchołki skał, trzej myśliwcy znajdowali się już na niedostępnych wyżynach a nad wieczorem przebywszy grzbiet górzystego pasma, znaleźli się nakoniec w okręgu przyjaznych pokoleń, kędy z trudów i niebezpieczeństw mogli wytchnąć swobodnie i natrząsać się z bezsilnej wściekłości Czarnego Sokoła, jaka go musiała ogarnąć na widok, że tak pewny i pożądany łup zdołał się wydrzeć z jego krwawych szponów.

Koniec.

Miguel Calmon leży nad rzeką Ivahy, która pod tą kolonią ma około 60 metrów szerokości. Ivahy staje się spławną od ujścia wpadającej w nią rzeki Barreiry, przepływającej przez kolonję. Wogóle wody tu nie brak. Do Ivahy wpada dużo rzeczek i strumieni z których ważniejsze następujące: Barreira, Susto, Lageado, Agua Parda, Covaceio, Rio dos Indios, S. João, Guabiroba. Na tych rzeczkach znajduje się wiele wodospadów, które mogą być zużytkowane do poruszania maszyn. Niektóre z nich są wielkiej siły, tak np. wodospad na rzece Agua Parda ma 86 metrów wysokości.

Na wschód i na północ od Miguel Calmon znajdują się lasy pinjorowe. Grunta, na których rosną te drzewa nie należą do najlepszych, zaliczają się one do tak zwanych gruntów drugiej klasy. Na tych gruntach osiedlono pierwszych kolonistów Calmonu — Niemców i Rusinów. Polacy i późniejsi koloniści osiedlili się na zachodzie i południu kolonji, na gruntach pierwszej klasy. Polacy zostali ulokowani na linjach: Rio dos Indios, Prudentopolis i Ivahy. Polaków jest zaledwo 78 rodzin z Królestwa, Rusinów 258 rodzin, Niemców 11, Holendrów 16, a Brazyljan, dawniej już tu zamieszkałych 93 rodziny. Tym ostatnim rząd wydzielił szakry na tych samych warunkach, jak i immigrantom.

D. c. n.

Z KOLONJI AFFONSO PENNA.

„Gazeta Świąteczna“ w Nr. 1466 z dnia 7 marca r. b. ogłosiła wyjątki z listu p. Witalisa Piotrowskiego, który opisywał stosunki na naszej kolonji w czarnych kolorach, a nawet, (bezwiednie może) ponapisywał różne brednie wogóle o kolonjach polskich w Paranie.

Zaznaczyć należy, że kto posiada spory kawał dobrego gruntu w starym kraju, to powinien pracować na nim i doprowadzić ojcowiznę do porządku, lecz jest w Polsce przecież tyle tysięcy wyrobników wiejskich lub gospodarzy na 1 lub 2 morgach lichej ziemi, którzy nietylko mrą z głodu na przednówku, lecz i cały rok biedę muszą klepać.

Jeśli tym ludziom nędza dokuczy do tego stopnia, że chcą szukać lepszej doli w Ameryce, to powinniśmy wskazać im kraj, gdzie najlepiej będzie się powodzić polskiemu włościaninowi.

Takim krajem jest nasza Parana, ponieważ tu ziemia jest urodzajna, klimat zdrowy (o wiele zdrowszy niż u nas w starym kraju) i są już tu duże polskie kolonje, które dobrze zachowują swą polskość.

Jeśli kto chodził po starych polskich kolonjach w Paranie, to widział, że każdy gospodarz, który nie pije, ma dobrobyt i nie potrzebuje ani sobie ani dzieciom żałować nietylko kartofli i chleba razowego, lecz słoniny, mleka kawy, cukru, grochu, kapusty a nawet mięsa i t. d.

Czy w starym kraju nawet najzamożniejsi gospodarze zabijają tyle świń do roku na własny użytek, co tu czyni każdy zagospodarowany kolonista? Czy w Polsce włościanie posiadają tak liczny i tak odżywiany inwentarz, jak tu u nas? Czy można porównać chłopskie dziecko z odętym brzuszkiem, z dziećmi tutejszych kolonistów—wesołymi, zdrowymi i sprytnymi?

Przecież tu każdy rolnik, jeśli nie jest pijakiem—po kilku latach ciężkiej pracy dorobi się własnych koni, krów i spłaci grunt rządowi, chociażby nic nie miał po przybyciu do Parany.

Więc poco pisać bajdy, panie Piotrowski?!..

Z początku w pierwszym i drugim roku każdemu jest bardzo ciężko, bo tęskni zą swoim dawnym otoczeniem, za wioską rodzinną, bo nie zna tutejszych warunków życia, sposobów gospodarki i musi się przyzwyczajać do tutejszego klimatu.

O naszej kolonji także nie pisze prawdy p. Piotrowski: przecież jest miasteczko pod bokiem, odległe o półtorej wiorsty; przecież budują drogę i tramwaj do Kurytyby, która jest znakomitym rynkiem zbytu; przecież osiedlając nas tu, na łąkach urzędnicy kolonizacyjni mówili, że ta ziemia bez nawozu nie będzie rodzić i że kto chce mieć zaraz urodzaj bez nawozu, to niech jedzie dalej palić lasy i sadzić kukurydzę.

Poco pisać, naprzykład takie rzeczy:

„Oto gdy pół roku upłynie, przybysz nie tylko przestaje otrzymywać zapomogę, ale musi zwrócić rządowi to, co otrzymał. Płaci częściowo, ale pierwszą spłatę musi wnieść zaraz w siódmym miesiącu“.

Już dziesiąty miesiąc upływa, jak rząd osiedlił na Affonso Penna polaków, a jednak po ukończeniu się zapomóg—mamy rządowe roboty na naszych drogach, płatne po 3 mile dziennie. O spłaceniu pierwszej raty nikt nawet nie wspomniał. Rząd jest bardzo względny przy ściąganiu należności za loty na kolonjach dawnych jak Lucena, Rio Claro i t. d. Prawie połowa lotów jest jeszcze nieopłaconych. Koloniści siedzą tam prawie od 18 lat.

Domy mamy lepsze, niż większość gospodarzy w starym kraju, gdyż i dachy są lepsze i mamy podłogi w izbach.

Prawdą jest tylko to, że na Bom Jardim umarło sporo drobnych dzieci w początkach z powodu zmiany klimatu i pożywienia, ale po co powiększać liczbę zmarłych dziesięciokrotnie? *) A wiele dzieci umiera rok rocznie na przednówku w każdej gminie starego kraju? Gdzież to w Paranie odczuwa się na starych kolonjach brak księży mówiących po polsku? A że księża polacy źle spełniają swoje obywatelskie powinności — to już sprawa zupełnie inna, przez pana nie poruszana.

Gdybyś pan z rodziną przyjechał wprost do Parany i nie przebywał kilka miesięcy w S. Paulo, to nie przechodzilibyście tak ciężkiej aklimatyzacji i, zapewne dziecko najmniejsze nie umarłoby.

Zdaje mi się, że pan sam siebie dobrze określiłeś w następującym zdaniu: „Upatrywałem wszędzie niedostatek, brak czegoś“.

W imieniu swoim i sąsiadów napisał tę odpowiedź

Konrad Jeziorowski

12 Kwietnia 1909 r.

Zamieszczając powyższą odpowiedź na korespondencję »Gazety Świątecznej«, nie możemy nie wyrazić żalu, że niektóre pisma w kraju tak lekkomyślnie traktują sprawę emigracji do Parany. Pomimo że prasa polska w kraju ma możność czerpać pełną ręką zupełnie szczegółowe i prawdziwe wiadomości o kolonjach polskich w Paranie z »Polskiego Przeglądu Emigracyjnego« oraz z »Wiadomości Codziennych«; bawi się ona umieszczaniem zupełnie niesłusznych „gorzkich żalów“ różnych osób, które rojąc przesadne nadzieje, spodziewali się znaleźć w Paranie odrazu bez trudu i pracy bogactwo. Po liście p. Wlazłowskiego, ukazał się list p. Piotrowskiego. Wszystkie te narzekania nie są w stanie powstrzymać ruchu emigracyjnego w kraju. Emigracja z kraju trwać będzie w dalszym ciągu, lecz przedstawianie Parany w fałszywym świetle może odnieść ten skutek, że emigranci będą się udawać do Północnej Ameryki, gdzie stanowczo warunki dla kolonistów są znacznie gorsze niż u nas. Oczywiście nie należy emigrować ludziom w rodzaju p. Wlazłowskiego, którzy mają posady w kraju, ani takim jak p. Piotrowski, który miał własne gospodarstwo. Tym ludziom, wierzymy, że tu w początkach przynajmniej, znacznie gorzej się powodzić może, niż w kraju, ale też na szczęście emigrują w większości wypadków tacy, co nic do stracenia nie mają, a którym tu napewno przy odrobinie dobrej woli doskonale dziać się będzie.

Redakcja.

*) Według danych urzędu kolonizacyjnego, umarło 58 dzieci, co na 756 rodzin nie jest liczbą wygórowaną. Od Redakcji.

Z całej Polski.

Z KRÓLESTWA. W gazecie »Dzień« znajdujemy ciekawy urywek z pamiętników byłego urzędnika ochrany Bakaja, o którym już wspominaliśmy:

„11 grudnia 1909 r. członek ministerjum spraw wewnętrznych, posiadający rozległą władzę, Trepow wydał do wszystkich wydziałów ochrany depeszę okólnikową, nakazującą niezwłoczne aresztowanie wszystkich członków partji rewolucyjnych, jak również tych, którzy są z nimi w jakichkolwiek stosunkach.

Depesza Trepowa dodawała, że więźniów należy podzielić na dwie kategorje:

1) Takich, których winy można dowieść.

2) Takich, przeciwko którym nie ma się dostatecznych dowodów.

Ostatni powinni być sądzeni wyłącznie w „porządku administracyjnym“, co zgóry zagwarantowało skazanie.

Tym sposobem śledztwo rozpoczęte przez żandarmerję lub ochranę, mogło pchnąć proces polityczny w jeden z trzech kierunków, mianowicie:

„Sprawy, które wynikały tylko na zasadzie podejrzenia, rozstrzygane były w całości przez policję polityczną, aż do wyroku włącznie.

W wypadku, gdy posiadano pewne dowody, śledztwo prowadzone przez policję ulegało kontroli władz sądowych. Wyrok wydawał specjalny trybunał, złożony z trzech członków: delegata min. sprawiedliwości, spraw wewnętrznych i dep. policji.

W jednym i drugim wypadku oskarżony pozbawiony był prawa obrony. Sądy normalne rozstrzygały o losie więźniów tylko w takim razie, gdy wina ich nie ulega wątpliwości.

Gdy jednak sądy takie wydawały wyrok uniewinniający, władze administracyjne, w wielu wypadkach, zatrzymywały więźnia nadal.

Do wykonania nakazu Trepowa naczelnik ochrany warszawskiej przystąpił na chybił trafił. Pułkownik Szewiaków poprostu kazał pokazać listę podejrzanych, wybrał 300 osób, które polecił niezwłocznie aresztować.

Uwięziono „tylko“ 250, chociaż rewizje nie dały żadnych rezultatów. Wsadzono ich do kozy i zapomniano o ich istnieniu.

Dopiero w kilka miesięcy później, wskutek reklamacji naczelnika więzienia, przypomniano sobie o nich. Szewiakow polecił mi wybadać niektórych więźniów.

Miałem wtedy sposobność przekonać się, że cała ich wina polegała na wzmiankach ajentów, że taki a taki, według zebranych tajnych wiadomości, należy do P. P. S. lub Bundu.

Znając doskonale stosunki warszawskie, poznałem prędko, że są to ludzie, z rewolucją nic wspólnego nie mający.

Na dowód przytoczę choćby jeden tylko fakt.

Prowadząc śledztwo w sprawie tych 250 aresztowanych na chybił trafił, udałem się pewnego razu do więzienia w Ratuszu, gdyż tu zwykle badane są sprawy polityczne, i kazałem przyprowadzić do gabinetu jednego z więźniów, niejakiego 19 letniego Jana Kubiaka, z fachu zecera. Według tajnych informacji należał on do P. P. S.

Znałem owego Jana Kubiaka, gdyż był już raz wmięszany w jakąś sprawę polityczną. Jakież było moje zdziwienie, gdy zobaczyłem przed sobą starca.

Proszę mi powiedzieć pańskie nazwisko, imię i zawód, powiedziałem.

— Jan Kubiak, lat 45, stróż—brzmiała odpowiedź.

— Kiedy pan został aresztowany?

— Cztery miesiące temu.

— O co pana oskarżają?

— Albo ja wiem?

— Kto pana aresztował?

Pomocnik komisarza naszego cyrkułu; protestowałem, ale to nic nie pomogło. Ale nic złego nie zrobiłem. Jestem od lat 14-tu stróżem w jednym domu i z policją nigdy żadnych nieporozumień nie miałem.

Było mi jakoś dziwnie... Tymbardziej, że śledztwo wykazało, iż Kubiak nietylko do żadnej partji nie należał, ale wogóle o jakimkolwiek ruchu nie miał pojęcia.

— Nieporozumienie jakieś, pomyślałem sobie i udałem się w tej chwili do Szewiakowa, by go o tym poinformować. Byłem przekonany, że naczelnik ochrany wyda natychmiast rozkaz wypuszczenia więźnia na wolność.

Otrzymałem tymczasem następującą, wielce charakterystyczną odpowiedź:

— Mój kochany! My nie mamy czasu na wchodzenie w różne szczegóły. Gdybyśmy się chcieli zastanawiać nad każdym błędem, to musielibyśmy prawdopodobnie uwolnić wszystkich aresztowanych.

Gdy w parę dni później przypomniałem Szewiakowowi o Kubiaku, ten rozgniewał się na mnie, odebrał mi prowadzenie śledztwa i powierzył je niejakiemu Aristowowi, którego zapoznałem również ze sprawą Kubiaka.

Po ukończeniu śledztwa, Kubiaka, wraz z innymi, skazano na zesłanie na Syberję. Dowiedziałem się o tym w dzień ich wyjazdu

Natychmiast zwróciłem się do Szewiakowa z żądaniem wstrzymania deportacji Kubiaka, grożąc, iż w przeciwnym razie zawiadomię o fakcie powyższym władze. Groźba poskutkowała o tyle, że Szewiakow wstrzymał deportację Kubiaka, więził go jednak, jako podejrzanego, przez 9 miesięcy. »Dzień«.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Serbska odpowiedź na notę rosyjską, która radziła Serbji zrzec się odszkodowania, przez długi czas dawała materjał do najsprzeczniejszych wniosków. Różne pisma podawały o niej najsprzeczniejsze wiadomości. Obecnie ta-

Łowy na Madagaskarze.

(Opowiadanie myśliwca.)

Natychmiast po przybyciu na wyspę otrzymałem uprzejme zaprosiny na łowy. Ponieważ polowanie na dziki miało się rozpocząć dopiero nazajutrz o świcie, postanowiłem użyć reszty dnia dla obejrzenia kajmanów*). Malgasze nieznający jeszcze sztućców gwintowanych i biorąc je za zwykłe strzelby, radzili ażebyśmy kawałkami żelaza nabili broń. Kilkunastu doświadczonych strzelców krajowych przyłączyło się do naszej gromadki.

Wsiedliśmy w czółna, płynąc pod górę szerokiej rzeki; po półgodzinnej żegludze natrafiliśmy na boczne ramię. Woda w niem była spokojna i stojąca, a powierzchnia w znacznej części zarosła trzciną. Silna woń piżma objawiała, że tu się muszą znajdować kajmany. Wkrótce zaczęły się ukazywać ponad wodą głowy jaszczurów. Chciałem wystrzelić, lecz Malgasz ostrzegł mię, żebym na pewniejszą zdobycz zaczekał. Niedługo ujrzeliśmy ich kilkanaście porozciąganych jak krótkie pnie drzewa na piasku. Wypaliłem do jednego. Z największem podziwieniem Malgaszów, kula przebiwszy pancerz ugodziła tak dzielnie, że mimo największego natężenia, nie mógł się dowlec do wody. Inne przerażone hukiem wystrzału rzuciły się w wodę z taką gwałtownością, że w rozkołysanych czółnach trudno się było utrzymać na nogach.

Malgasze wyskoczywszy z łodzi, rzucili się ku ranionemu kajmanowi, który leżąc, potężnie walił ogonem w piasek i dobili go dzirytami. Zwierzę to było jednem z największych, jakie mi widzieć się zdarzyło.

Kajman nie napada na człowieka we dnie. Nieraz w lekkiem czółenku, w towarzystwie jednego tylko żeglarza przepływałem bezpiecznie pomiędzy tymi potworami: na nasz widok umykały pod wodę. Na zwierzęta rzucały się śmielej, a w nocy i człowiekowi grozi wielkie niebezpieczeństwo. Jaszczur ten pochwyciwszy łup żywcem, wciąga go pod wodę i tam trzyma tak długo dopóki się nie utopi; potem wywłóczy zabite zwierzę na ląd i zakopuje w piasku, dochodząc codziennie i pożerając po kawałku. Jaja składa w piasku: nie robi jednak tak jak krokodyl, składający po kilkanaście w jednem miejscu, ale po dwa znosi w rozmaitych stronach.

Zraniłem jeszcze kilka kajmanów, mój towarzysz zabił jednego; lecz nie można go było wydostać, bo zanurzył się w wodzie i zniknął.

Malgasze w inny sposób, mniej wymagający zachodu, zabijają te płazy. Robią oni hak z twardego drzewa, zakładają nań kawał surowej wołowiny i kładą na brzegu rzeki, w której kajmany przebywają. Hak umocowany jest na końcu liny, drugi przywiązują do drzewa, a sami zasadzają się w gąszczu opodal. Skoro jaszczur połknie przynętę, ciągną z całą siłą na brzeg. Kajman nie może sobie dać rady, a tymczasem kilku łowców dobiega z tyłu i przebijają go włóczniami.

Na drugi dzień zebraliśmy się przed świtem w umówionem miejscu, aby zapolować na dziki. Malgasze urządzają łowy w odmienny sposób, aniżeli strzelcy europejscy. Stoją oni rzędem, zajmując znaczną część lasu i wypuszczają kilku psów dla wystraszenia dzika, za którymi jednak nikt nie idzie. Skoro szczekanie oznajmi, że psy wpadły na trop, cały szereg zaczyna wydawać wrzaski uderzając się przytem dłonią w biodra. Dzik zwykle ucieka w gąszcze, gdzie nań napadają z włóczniami. Łowy są mniej niebezpieczne, jeżeli podczas dojrzewania ryżu zdołają obskoczyć zwierza na polu, albowiem wówczas zwierz jest spasły i ciężki, i nie może się tak dobrze bronić jak w lesie.

Dwa gatunki dzików znajdują się w Madagaskarze. Pierwszy nierównie luźniejszy, przechodzi wielkością nasze dziki. Chociaż zwyczaje ich i sposób życia jest podobny do dzików europejskich, ale powierzchowność odmienna. Kości ich policzkowe wystają bardzo, a zagłębienie pomiędzy niemi a kością czołową jest tak wielkie, że prawie oczu nie znać. Głowa dzika jest straszna, ponad ryjem znajdują się dwa czarne wyrostki na cal grube, a na trzy wysokie; głowa daleko większa aniżeli naszych dzików, i niestosowna wcale do reszty ciała: mięso, osobliwie też samic, smaczne, soczyste i delikatne.

Inny gatunek daleko rzadszy odznacza się czerwoną sierścią; ciało daleko mniejsze, lecz kształtem poprzedniemu podobne. Biada strzelcowi, który wybrał się z lichą bronią, lub też jej zręcznie użyć nie umie. Rodzaj ten przybywa w najludniejszych zakątkach wyspy a mięso jego twarde i niesmaczne.

Pierwszy dzik, którego psy ruszyły, był to samiec potężny, stary i nie dał się wyprzeć z gęstwiny. Bronił się w niej psom jakby w twierdzy; Malgasze otoczyli zarośle. W końcu wypadł, natychmiast myśliwcy wyrzucili dzirytý, lecz z powodu znacznej odległości otrzymał tylko lekkie rany. Sześciu najskorszych puściło się za nim w pogoń, pędząc za goniącymi psami: my śpieszyliśmy w też tropy. Po dwugodzinnej gonitwie dzik powrócił do swego legowiska. Wkrótce krzyki myśliwych i krótkie ujadanie psów oznajmiły, że walka się rozpoczęła na dobre. Pędziliśmy co sił aby zdążyć na czas, lecz ścieżki zarosłe gąszczem tamowały drogę, tak iż dopadliśmy już po ubiciu zwierza. Dzik leżał rozciągnięty na ziemi, psy go otaczały, liżąc krew obficie płynącą. Malgasze w mgnieniu oka rozpalili ogień, inni tymczasem oprawili dzika. Potem zawieszono go za nogi. Strzelcy natarli krwią nozdrza psom i każdemu z młodszych wleli nieco posoki do pyska. Czynią to w tym celu, aby psy, które jeszcze nie były na polowaniu zaprawić do tropienia i ścigania dzika. Następnie dali im pożreć wnętrzności i łapy zwierza. Nareszcie pocięto go na kawały i upieczono na rożnach: pieczeń ta przewybornie mi smakowała.

Dokończenie nastąpi.

*) „Kajman“ [aligator], rodzaj jaszczura ogromnego, pokrewny krokodylowi i gawialowi.

jemnica tych zupełnie sprzecznych pogłosek o odpowiedzi serbskiej wyjaśniła się.

Oto ministerjum spraw zewnętrznych z niewiadomego powodu użyło niesłychanego podstępu, a mianowicie dało reprezentantom każdego z mocarstw inną odpowiedź. W ten sposób w gabinetach europejskich powstała taka gmatwanina, że właściwie dotąd jeszcze na pewno nie wiadomo, jaką była rzeczywista uchwała. Najprawdopodobniejszem jest przypuszczenie, że Serbja żąda, aby sprawa Bośni i Hercegowiny była rozstrzygnięta przez konferencję europejską. Wobec takiej odpowiedzi pozbawione są wszelkiej racji pretensje Austrji, aby Serbja w sprawie Bośniackiej jedynie z nią się porozumiała. W ten sposób sprawa ta nabiera charakteru ogólno europejskiego, a nie jak dotąd—prywatnego zatargu pomiędzy Austrją, Serbją i Turcją. Oczywiście podobne rozstrzygnięcie sprawy nie leży w interesie Austrji, gdyż woli ona mieć do czynienia z maleńką Serbją niż z konferencją mocarstw. z których jedne tylko Niemcy będą ją popierały.

Polityka Rosji w tej sprawie, jak już pisaliśmy, jest bardzo dwuznaczna. Poseł rosyjski w Serbji rzekomo stara się nakłonić Serbję do pokojowego załatwienia sprawy, jednocześnie zaś zapewnia, że Rosja w razie wojny okaże pomoc zbrojną, przysyłając trzy korpusy wojska.

Na granicy austrjacko-serbskiej ciągle przychodzi do zbrojnych zatargów. Zwykle stroną napadającą są serbowie. Rząd serbski tłómaczył się tym, że napadów tych dokonywują chłopi. Jednakże przy napadzie na patrol austryjacki pod Zwornikiem raniono kilku napastników! Okazało się, że są to nie chłopi, lecz uzbrojeni przez rząd serbski ochotnicy. Napady na patrole powtarzają się bardzo często, chodzą pogłoski, że wobec tego wojny niepodobna uniknąć.

Korespondencje.

S. Feliciano—Rio Grande do Sul.

SZ. REDAKCJO!

Ponieważ kontent jestem, gdy mogę się coś dowiedzieć o przeróżnych zdarzeniach i o życiu naszych braci polaków i rządzeniu się naszym w ogólności w nowej ojczyźnie, więc czuję się obowiązanym również przez podanie wiadomości choć cokolwiek stać się pożytecznym ogółowi. Wiele pięknych rzeczy czytałem w „Polaku" i serce się raduje niewymownie, gdy się widzi że bracia postępują naprzód, bo biorą się do oświaty i przez to do walki z pijaństwem, z przesądami, nie pozwalając się wyzyskiwać, a na tym cała polskość skorzysta; nawet zarzucają tytoń, karciarstwo i inne niezliczone, szkodliwe i stratę przynoszące zwyczaje, a biorą za rozrywkę w wolnych chwilach czytanie książek i gazet. Z wyjątkiem niektórych jednostek, widzę powyżej wspomniane szlachetne postępki na naszej kolonji, jak również i w innych miejscowościach, co wiemy z wzajemnego informowania się w pismach.

Otóż kolonja nasza liczy obecnie około 600 rodzin polskich, zajmujemy się po większej części rolnictwem, tego roku mamy dobry urodzaj, bo fiżon, kukurydza i kartofle dobrze obrodziły, oby nie gorzej na przyszłość było.

Lecz nie tylko zatrudniamy się pracą rolną, bo o rzemiosło i przemysł także dbamy i o moralność, bo o ile się zdaje, to na pokarmie tylko materjalnym zadawalnia się i bydlę; mamy tu szkołę rządową portugalską, której profesorem jest z urodzenia czech, zdolny jest chcących nauczyć wielu języków. Posiadamy szkołę polską, której profesorem jest nasz rodak, uczy pisania, czytania rachunków i paru chłopców wzięło od tegoż pana dobre początki muzyki na skrzypcach, a mogą się także nauczyć grać na instrumentach dętych. Wkrótce zacznie tu funkcjonować jeszcze jedna szkoła polska, której nauczycielem będzie człowiek niedawno przybyły ze starego kraju, też polak. Budujemy tu wielki kościół murowany i już idzie praca przy wiązaniu pod dach, który ma być z blachy cynkowej. Mamy tu także i stację telagraficzną. Kolonja nasza leży w pobliżu 3-ch miasteczek. São João do Duro (do Camaquam) leży na połud.—wschodzie, więcej na wschodzie. Municypjum Encruzilhada na półn.—zachodzie. Najmniejsze miasteczko São Jose, odległe o 5 mil drogi od naszej kolonji, leży na połud.-zachodzie, a z 2 powyżej opisanych, São Joã do Camaquam o 8 mil odległe i Villa Encruzilhada o 10 mil, może cokolwiek więcej.

Na granicy S. Feliciano od wschodu, przepływa bystra i dosyć duża rzeka Syptil, też mniejsza Szawiel i wiele pomniejszych, na których mogą pracować młyny przy umiejętnym zastosowaniu; mamy tu aż do 10 młynów, to zaledwo że 4 z nich najlepiej mielą, a inne najczęściej kiedy susza to stoją z powodu braku wody, gdy znów obfitsze deszcze, to nadmiar wody porozrywa groble i pozawala rowy. Karosów [wozów] samych w polskich rękach jest co najmniej 40, wszystkich jest więcej jak 50. Wend (magazynów) mamy tu na S. F. 25· Kuźni czynnych jest tu trzy. Krawców o ile wiem, to jest tu 4 trzech polaków i jeden tutejszy krajowiec. Szewców jest tu do 10, lecz trudniących się swym fachem zaledwie 6—7. Bednarzy jest zalewie 2, rymarzy 3, stelmachów 2, garncarzy 2—3 blacharzy 2, najmniej 10 ceglarzy, murarzy 6, niemniej; stolarzy 9—10. Dodać trzeba, ażeby mieć jakie takie pojęcie o naszej kolonji, że znajduje się tu 3 fotografów i do 15 muzykantów. Do uzupełnienia dodam, że jest jedej introligator i jeden polski medyk.

Dodać muszę, że znajduje się tu między nami choć 1—2 każdego fachu rękodzielniczego, a także sztuk pięknych. Bracia nasi uprawiają ziemię tu na kolonji po większej części pługami, a bardzo mało gracami, to też prawie każdy kolonista ma choć parę koni, chowamy tu także nierogaciznę, drób domowy i świnie; tych ostatnich niektórzy chowają tu po 20—30 i więcej sztuk, kiedy np. kukurydza tania jest jak obecnie, bo ledwo po 3.500 do 4$; więc karmią je i sprzedają słoninę lub szmalec na miejscu, albo wyeksportowują do miast Porto Alegre, Pelotas, albo do mniejszych. Posiadamy tu także znaczne sady owocowe, co sprzyja rozwojowi pszczelnictwa. To też nasi rodacy mają niektórzy po parę niektórzy po 50, 100 i więcej uli pszczół, z czego czasem mają całe utrzymanie. Zaznaczyć jeszcze trzeba, że w tym roku są tu wszystkie produkta bardzo tanie, kartofle np. po 1.500 alkier, fasola po 4.500 do 5$000 alkier i t. d.

Lecz na nasze stosunki ceny te nie są zbyt dostępne, bo nie bardzo kto chce kupować, ponieważ prawie ogólnie daje się odczuwać brak pieniędzy.

Kochani bracia, wspierajmy się wzajem o ile mocy, bo jedność nasza, to siła nasza, a w jedności można żyć dopiero za pomocą oświaty, Wspierajmy pragnących dobra ludzkości, a więc miłujących prawdę, oświecajmy się o ile możności, nawzajem sobie, podając najbardziej pożyteczne rady i wskazówki. Ja później podam i podawać będę szczegółowe opisy życia naszego tu na kolonji.

Z szacunkiem Jan Kidrycki.—

—oooooo—

Towarzystwo istniejące w Kampeście na zebranie, które odbyło się dnia 4 IV. 09 r. zaprosiło p. Jadwigę Jaholkowską, niedawno przybyłą z kraju; jako Prelegentkę. Zgromadzenie było liczne, na które z wielką ochotą przybyli koloniści ze swemi żonami, aby usłyszeć głos polki w sprawach narodowych. Koloniści z szacunkiem witali rodaczkę, która, wspomniawszy o swej działalności w kraju, a także chęci pracy wśród tutejszych braci, przeszła do właściwego wykładu, którego główną treścią był ucisk naszych braci znajdujących się pod jarzmem zaborców. Z okazji rocznicy bitwy Racławickiej, Prelegentka skreśliła bohaterskie czyny naczelnika wojsk polskich Tadeusza Kościuszki, waleczną obronę Ojczyzny przez kmieci polskich. O dzielnym Bartoszu Głowackim, o Stachu Swistackim i wielu innych, którzy się w bitwie Racławickiej odznaczali.

A gdy Prelegentka wyjaśniła przyczyny emigracji polskiej z ojczystej ziemi, tę tułaczkę w obce krainy, prześladowania zaborców, gnębienie niewinnych, żal i smutek odmalowały się w oczach słuchaczy. Zadrgały uczucia narodowe gdyż boleść była jak—by własna, tak zostali przejęci słowami Prelegentki.

W dalszym ciągu mówiła potędze oświaty, o tem co to jest nauka i do czego ludzie przez nią doszli, co wywołało podziw w pośród zebranych.

Opowiadanie o działalności w starym kraju o dążeniach oświatowych, pomimo prześladowań zaborców, pomimo wywłaszczania z ziemi ojczystej, jak to się działo w zaborze pruskim, o staniu przy swojem rodaka Drzymały, w słuchaczach wzbudziła szacunek dla walczących braci.

W zakończeniu swej prelekcji, w której była wzmianka i o zabójczym działaniu alkoholu, tej przeszkodzie do postępu w dobrem, zachęciła mówczyni tutejszy ogół do naśladowania rodaków ze starego kraju dążących mimo przeszkód do światła i dobra.

Prelegentka zaznaczyła, że wspólnemi siłami przy zgodzie i miłości wielkich rzeczy dokazać można, a widzi z pociechą, że parańscy bracia zaczynają to rozumieć i łączyć się w stowarzyszenia, aby własnemi siłami podnosić oświatę i dobrobyt. Cały ogół słuchaczy wdzięczny jest Sz. Prelegentce i wyraża swe podziękowanie.

Wiktor Zawadzki sekretarz.

RIO CLARO, 5 KWIETNIA 19099.

Szanowny Panie Redaktorze!

Licząc na szczere chęci popierania wszelkich spraw dotyczących się naszych polskich kolonji, co już miałem raz przyjemność sprawdzić w waszej redakcji, udaję się do Sz. Pana w następującej sprawie: Z powodu założenia nowej kolonji „Candido de Abreu" tutejsi koloniści zdecydowali się dołożyć wszelkich starań ażeby otworzyć drogę wozową, którąby połączyła nasze miasteczko z nową kolonją, w tym celu zebrali się tutejsi mieszkańcy nie wyróżniając narodowości i wybrali komisję, która została upoważniona porozumieć się w tej sprawie z rządem, prosząc go o subwencję w kwocie 3 tysięcy milrejsów na budowę powyższej drogi, obowiązując się do wypełnienia reszty kosztów konstrukcji. Powyższa droga liczy mniej więcej około 7 kilometrów długości to jest do granicy kolonji nowej, stąd do nowo zakładającego się miasteczka będzie także 7 kilom., które są już w konstrukcji na koszt rządu federalnego. Projektowana droga przyniosłaby nieobliczone korzyści naszej kolonji ponieważ otworzyłaby nowy rynek zbytu naszych produktów podczas kolonizowania, co też byłoby dogodniejszem dla emigrantów świeżo przybyłych.

Jedyna komunikacja jaką posiadamy nie jest odpowiednia dla większości, tem bardziej dla naszych polskich kolonistów, ponieważ z Rio Claro do stacji kolejowej M. Mallet mamy 23 kilometry, a koleją około 30 kilom. aż do stacji Paulo Frontim, stąd do nowo zakładającego się miasteczka będzie około 7 kilometrów czyli razem 60 kilometrów, gdyż tymczasem projektowana droga będzie liczyć tylko około 14 kilometrów, a oprócz tego jest to część głównego traktu łączącego Paranę zJ stanem Rio Grande do Sul, czyli tak zwana „Estrada de Palmas", która podobno jest strategiczną, a więc powinno by leżyć w interesie rządu otwarcie tejże drogi, nie mówiąc już, że kolonja tak wielka jak nasza nie powinna by być zapomnianą jak obecnie.

Wybrana komisja, o której powyżej wspomniałem, składa się z następujących obywateli: Franciszka Zelnera, Aleksandra Miecznikowskiego, Jana Ikiera, Arnolda Prolman i Juljana Buczek, którzy już wysłali prośbę do prezydenta stanu prosząc o subwencję, a oprócz tego i kilku interesowanych obywateli także wysłało listy do osób wpływowych w Kurytybie prosząc ich o popieranie sprawy, o co też ośmielam się prosić Sz. pana.

Oprócz wspomnianej drogi byłoby też jaknajrychlej potrzebne otwarcie drogi kołowej do S. Matheus coby mogło wpłynąć na rozwój obu kolonji, nie mówiąc o nowej obecnie zakładającej się, która by też mogła korzystać z tańszej komunikacji ponieważ mogłaby wysyłać produkta rzeką Iguassu co o wiele taniej wynosi aniżeli koleją, na co mamy dowód, ponieważ nawet kupcy ze stacji M. Mallet odległej od rzeki Iguassu o 6 mil drogi, sprowadzają tędy większą część towarów. Jest faktem, że i nowo zakładająca się kolonja Candido de Abreu będzie także miała drogę wozową do rzeki Iguassu, która nie wiadomo czy będzie zrobiona, chociaż jest w planie nowej kolonji, ponieważ podczas kolonizowania Rio Claro także było wiele dróg projektowanych a żadna nie doszła do skutku. Byłoby warto, ażeby poruszyć tę sprawę, którą dotychczas mało się interesowano.

Życzliwy prenumerator „Polaka w Brazylji"

Jan Buczek.

KRONIKA.

PODATEK HANDLOWY. Komisja złożona z miejscowych kupców i przemysłowców, którą powołał, jak już pisaliśmy o tem kongres stanowy dla rozpatrzenia ustawy podatków i patentów handlowych i wspólnie z odnośną komisją kongresu opracować nowy system opodatkowania na zebraniu swym w lokalu związku pracowników handlowych postanowiła naznaczyć na dzień 15 b. m. w tymże lokalu zebranie, na które postanowiono zaprosić wszystkich miejscowych kupców dla wspólnego rozpatrzenia rezultatów pracy dokonanej przez komisję i ostatecznego określenia wysokości podatków od niektórych ważniejszych przedmiotów handlu Parańskiego.

KURYTYBA. W ostatnich czasach daje się zauważyć wzmocniony ruch budowlany w naszym mieście, w danej chwili jest w budowie 82 domy, mimo to niema zupełnie mieszkań wolnych, a ceny na nie drożeją.

Zarząd miejski dość energicznie bierze się do brukowania ulic i chodników.

Wodociągi, które od dłuższego czasu czynne były tylko na placach i przy zbiegu niektórych ulic, zaczynają się przedostawać do domów; zaczęto roboty od placu Tiradentes.

Kanalizacja jest na ukończeniu i zacznie funkcjonować najdalej za 2 miesiące.

STATYSTYKA KRYMINALNA. Według obliczeń statystycznych w Rio de Janeiro w przeciągu ubiegłego roku zostało spełnionych 3 104 zbrodni, w tej ilości 1 113 zbrodni było dziełem cudzoziemców i 170 zabójstw było popełnionem w następstwie wybuchów gniewu. Zostało uwięzionych 62 zbrodniarzy i trzech popełniło samobójstwo. Również w przeciągu ubiegłego roku w Rio zostało popełnionych 60 większych kradzieży z włamaniem się przy czym policja odkryła 43 złoczyńców a 17 bezkarnie umknęło.

Jak widzimy, liczba zbrodni w Rio de Janeiro, popełnionych w przeciągu jednego roku jest znaczna, jednakże w porównaniu z ilością zbrodni popełnionych w tym samym czasie w innych miastach Południowej Ameryki liczba ta okaże się zbyt małą, tak np. w Buenos Aires w przeciągu ubiegłego roku spełniono 8735 zbrodni przy udziale 40161 osób, z których uszło bezkarnie 4950. Zaś w stolicy republiki Chili w Valparaiso, mieście bądź co bądź małym w porównaniu do Buenos Aires i Rio de Janeiro, spełniono w tym samym czasie 27908 zbrodni.

Z PRUDENTOPOLIS otrzymujemy od naszych czytelników skargi na ks. Mięsopusta za zupełne odsuwanie parafjan od zarządu kościoła. Między innymi czytelnicy nasi zanoszą słuszną skargę przeciw wydzierżawianiu ławek w kościele. Wielu dawało składki nie tylko na kościół ale i specjalnie na ławki z których dzisiaj po ich wydzierżawieniu nie mogą korzystać. Podobno prawo siedzenia w ławce kosztuje 10 milrejsów.

FANATYZM RELIGIJNY. Po niedawno ogłoszonym wypadku spalenia przez katolików świątyni protestanckiej w S. Jóse do Calçado w stanie Espirito Santo i towarzyszącymi mu ekscesami rozzuchwalonego przez księży tłumu, zaszedł podobnyż wypadek oburzającego gwałtu w mieście Pirepetinga w stanie S. Paulo; i tu ksiądz miejscowy podmówił wiernych do spalenia kościoła protestanckiego, przyczym dopuszczono się znów gwałtów na osobach i mieniu innowierców.

Protestanci w całym kraju żądają energicznie od rządu wdania się w te sprawy i skuteczniejszej niż dotychczas obrony przed systematycznie podburzanymi tłumami.

Wiadomość o wypadku czerpiemy z organu urzędowego.

PIENIĄDZE. Przypominamy, że w dniu 30 kwietnia zostają wycofane z obiegu następujące papierowe banknoty:

5$. 8 i 9 estampy.
10$. 8 i 9 estampy.
20$. i 50$. robione w Anglji.

Został odroczony do 30 czerwca b. r. termin wycofania następujących pieniędzy

5$. 10 estampy.
200$. 10 estampy.
100$., 200$. i 500$. robione w Anglji.

DO ODEBRANIA znajduje się w naszej redakcji, dla redakcji „Narodu" 36 milrejsów nadesłanych jako prenumerata.

Ogłoszenia.

Za dział ten Redakcja nie odpowiada.

DZIAŁ POWIEŚCIOWY.

POSIEW KRWI.

POWIEŚĆ

PRZEZ

Wacława Żmudzkiego

Struć się chciałeś, psie! Chciałeś się wykpić tanim kosztem? Nie, tobie co innego sądzone. Umrzesz, ale umrzesz tak, że twoje jęki przedśmiertne dolecą do twojej ojczyzny!

Jokodama odwrócił z pewnym wysileniem głowę i spojrzał na niego.

Dokoła jego ust przewinął się sarkastyczny uśmiech

— Żaden z was nie doczeka tego, ażeby usłyszeć jęk prawego japończyka! Każ twym zbirom uwolnić mię, sławny wodzu! Jestem gotów na wszelkie męki, jakie ci twoja wielka dusza podpowie. Banzaj, Japonja!

Kuropatkin skinął z wściekłością na żołnierzy

— Zatkać mu gardło.

Żołnierze pośpieszyli spełnić rozkaz z gorliwością, na skutek której Jokodama znów na chwilę omdlał

Ocknąwszy się, odkaszlnął krwią i poruszył głową, jakby próbując kręgów.

— Uśmierzyło cię?...—zapytał nienawistnie wódz.

Japończyk nie odpowiedział i nie spojrzał

Powolnie, jakby zbierając kości, dźwignął się na kolana, podparł się rękami i wreszcie wstał.

I teraz dopiero spojrzał staremu wodzowi prosto w oczy.

Pod wpływem tego spojrzenia, lśniącego jak stal i jak stal zimnego, źrenice Kuropatkina zamigotały niepewnym blaskiem, uczuł potrzebę spojrzenia w bok.

Nerwowa twarz japończyka wykrzywiła się sarkastycznym, trującym uśmiechem. Przez chwilę wpatrywał się w potężnego przeciwnika rozgorzałymi płomieniami swych oczu, wreszcie zaśmiał się śmiechem przeciągłym, suchym, a dziwnie urągliwym, smagającym jak bicz.

Od tego śmiechu policzki starego wodza zabarwiły się rumieńcem—dla przyczyny, z istoty której na razie nie próbował nawet zdać sobie sprawy.

Czuł tylko, że jest mu grubo nieprzyjemnie i niecierpliwie zamachał ręką na żołnierzy.

— Precz z nim i tam zrobić dokładną rewizję.

Argumentem, skierowanym pod łopatkę i pod żebro, momentalnie nadano japończykowi należyty kierunek—ku drzwiom.

Ustępował zwolna, nie przestając ani na moment palić roześlnionymi ślepiami. Po twarzy jego rozlewała się dziwna radość, rzekłbyś—nowożeniec zdążający do małżeńskiej komnaty.

Przed samym progiem oparł się jeszcze na chwilę wypychającym go pięściom.

— Wielki wodzu! Czy pamiętasz podczas tej sławetnej pierwszej operacji to lekkie, niby przypadkowe zakłócie? Cha, cha, cha! Czy pamiętasz, wodzu sławny?!

Kuropatkin spojrzał na niego dziwnie dziwnie znagła pobladłymi oczyma.

— Co chcesz przez to powiedzieć, podstępny, podły psie japoński?

— Cha, cha, Wielki wódz raczy się gniewać! Wiedz-że, wodzu i drżyj naprzód! To zakłócie nie było przypadkowym. Czy przypominasz sobie te okoliczności, w których wydałeś ów bohaterski odzew do ofenzywy? Cha, cha!... To, że zostałeś później sromotnie rozbity, to jest to twoja własna zasługa. Ale żeś wogóle mógł ten rozkaz wydawać, to jest zasługa moja, skutek owego niewinnego zakłócia. Przez to zakłócie ja ci wówczas ducha zatrułem—słyszysz?—ducha! I niejeden jeszcze podobnie szalony czyn popełnisz na zgubę powierzonej ci armji, aż skończysz wreszcie tak, jak kończy pies oszalały... Pierwszy lepszy z twoich żołnierzy łeb ci kamieniem roztrzaska.

Ostatnie słowa domówił już za drzwiami, wypchnięty przemocą przez żołnierzy, których ze swej strony pośpiesznie, z dziwnem drżeniem wypychał Kuropatkin.

Słowa japończyka podziałały na niego straszliwie.

Jak każdy średniej miary inteligent, zwykł był nazewnątrz wyśmiewać się z wszelkich przesądów, ale jako prawowity z dziada pradziada Rosjanin był w gruncie rzeczy przesądnym do szpiku kości.

Rzucony mściwą ręką posiew trafił na bardzo dobry grunt.

I pod wpływem trujących słów w duszy starego wodza obudził się odrazu straszliwy korowód wyjących upiorów.

Czarna rozpacz i lęk sinolicy, lęk ściskający serce zimnymi kleszczami nieubłaganych kłów, padły na niego odrazu, jak zgłodniałe sępy na odleżałe, przegniłe już ścierwo, i darły szponami na strzępy.

Stary wódz chwytał się rękami za piersi, jakby chcąc sprawdzić, zali naprawdę on jest on, i obzierał sie dokoła dzikiemi od zgrozy oczami.

Z warg, wraz z bryzgami piany, padały jakieś dźwięki, niepowiązane, bez wyrazu.

W tej chwili istotnie sprawiał wrażenie obłąkanego.

PRZYCZYNY I SKUTKI.

Okopowicz, w watowanym chińskim chałacie, sięgającym aż po pięty, w baraniej czapce, zsuniętej na tył głowy i odsłaniającej spoconą łysinę, zwijał się żwawo koło swej mizernej maszynki drukarskiej.

Chwilami spoglądał na owoc swej dzisiejszej pracy — stos zadrukowanych kartek, leżących na podłodze—i na ustach jego zjawiał się uśmiech szczerego zadowolenia.

Biegł do stojącego w kącie małego naftowego piecyka, ogrzewał dłonie buchającym z cylindra żarem, i znów powracał do roboty.

Papier przygotowany do zadrukowania, był już na wyczerpaniu.

Spojrzał na niego parokrotnie, potem jeszcze raz zmierzył okiem leżące na podłodze kartki i potrząsnął głową.

— Szelma Jok! Buja sobie na wolnem powietrzu, zadaje się za pan brat z „naczalstwem“ a o tem, co najważniejsze, nie pamięta. Czekaj, gałganie, rozprawią ja się z tobą za powrotem!

W tej chwili u drzwi rozległo się nagle jedno głośne stuknięcie.

Urwał swój monolog i, zaparłszy w sobie dech' nadstawił uszu.

Po chwili rozległy się znów trzy szybko po sobie następujące puknięcia, potem krótka przerwa, i znów jedno głośne uderzenie.

Podszedł do drzwi i ze swej strony zastukał umówioną ilość razy.

— Aha! — odezwał się z za drzwi głos.

Okopowicz szybko zaczął odsuwać żelazne rygle. Jok zarzucił gdzieś klucz. Aha, już jest, zaraz!

Szarpnął drzwiami — i mimowoli odstąpił parę kroków.

Do izby wkroczyła postać w szarym, obficie przyprószonym śniegiem szynelu, ze łbem okręconym żółtym baszłykiem, z pod którego sterczały końce wąsów z dyndającymi soplami lodu.

Okopowicz przyglądał mu się w milczeniu i nie bez pewnego zaniepokojenia.

Przybyły tymczasem „zabił“ kilkakrotnie ręce, kilkakrotnie zatupał silnie nogami, poczem dopiero palcami, działającymi ze sprawnością grabi, zaczął powolnie rozkręcać baszłyk.

— Jędrek! — wykrzyknął Okopowicz, gdy wreszcie głowa wyłoniła się na światło. — I czemuż się, małpo, nie odzywasz! Jużem Bóg wie co zaczynał myśleć.

Przybyły uśmiechnął się blado.

— Bo mi język tak samo zgrabiał, jak te palce.

Wyciągnął rękę z czerwonymi, obrzmiałymi palcami, które nie chciały rozchodzić się, jakby były przyklejone jeden do drugiego.

— Przeklęty kraj! — mruknął. — przeklęte to wszystko!

Okopowicz zaniepokoił się.

— Aleś ty, bracie, nie na żarty, widzę przemarzł! Herbaty ci może zrobić?

Jędrek machnął ręką.

— Ech, herbaty! Możeby pan lepiej gorzaliny jakiej znaleźli i chleba kawałek. W brzuchu, jak w tej stodole na przednówek, jeno wiatr gwizda. Mnie od tego taki ziąb przejmuje.

Okopowicz żwawo skoczył do paki, w której niegdyś przywędrowała maszyna, a która obecnie służyła za kredens.

— Znajdzie się, i to się znajdzie!

Wyciągnął graniastą butelczynę, nalał spory kieliszek, za butelką z wnętrza paki wyłonił się okopcony schab i bochen czarnego chleba.

Z Jędrkowych źrenic trysnęły żywe snopy iskier.

Jeszcze wydobyte specjały nie przeszły z rąk Okopowicza do jego rąk, a grdyka już latała mu z góry na dół i z dołu do góry, jakby wprawiając się w proces połykania.

Potem wziął w jedną rękę pół bochna chleba, w drugą prawie połowę schaba, przeżegnał się krzyżem świętym, rozsiadł się szeroko na tapczanie i począł jeść, ale to tak jeść, że trzask łamanych w zębach „zioberek“ schabowych rozlegał się, jak salwy karabinowe.

— Ależ, bój się Boga, człowieku, wyglądasz, jakbyś od tygodnia nic w ustach nie miał.

Nie przerywając sobie, Jędrek kiwnął tylko głową i jednocześnie grdyka jego odprowadziła do żołądka podwójną porcję smacznej mieszaniny.

Nie chcąc mu przeszkadzać, Okopowicz przysiadł obok da tapczanie i zamyślił się smutnie.

Jędrek spożył do okruszynki oddzieloną pierwotnie porcję, ukroił sobie na przegryzkę jeszcze małą skibkę chleba, przełknął ją równie szybko, potem wstał, napił się wody z glinianego dzbana, stojącego obok glinianej miski-miednicy, odsapnął głęboko i, usiadłszy znów na tapczanie, odezwał się wreszcie:

— Bóg zapłać panie, Bóg wielki zapłać! A co do tego, że pan mówi, jakbym od tygodnia nie jadł, che, che!

Zaśmiał się z goryczą.

— Nie od tygodnia, ale od pół roku, proszę pana, odkąd się ta kara Boża zaczęła, A teraz w ostatnich czasach jeszcze gorzej. Zimno takie, ziąb taki, że ciało od kości odmarza. Wypoczynku — ani o tym pomyśleć. Ani dniem, ani nocą, a dla naszej wiary osobliwie. Nie wiem, skąd to się wzięło, ale teraz jak na stracenie, to zawsze nasz, zawsze tylko nasz. Ja sam kilka razy cudem boskim, że nogi wyniosłem. A co do strawy, to już i wypowiedzieć trudno. Albo nie ma czego w zęby w razić, albo jak dadzą, to cię potem zeprze jak to bydlę po świeżej koniczynie, bo niczego nie ma jak się patrzy, mięso śmierdzi, mąka na połowę z wapnem, krupy takie, że na garniec, nie wiem, czy by łyżkę krup jak się patrzy wybrał. I żeby to choć dochodziło regularnie. Ale ot choćby i teraz! Nas tu posłali po furaż do Mukdenu do magazynów, a tam całe wojsko niema czego do pyska wetknąć. Taki jest los. I my to wszystko musimy znosić, i gorzej od innych znosić, i Bóg to tylko wie, kiedy się to wszystko skończy! Ech!...

Okopowicz podczas tego wylewu zbolałej duszy wstał i nerwowo zaczął chodzić po pokoju.

Gdy Jędrek skończył, zatrzymał się przed nim.

— Kiedy się skończy? Nigdy się nie skończy dla nas, bo my jesteśmy barany, którzy wszystko jedno—tu, czy tam—a zawsze pozwolimy wyrzynać się bezkarnie. Barany, barany, barany! Wełnę z nas zdejmują—nic. Skórę zdejmują — również nic, jeszcze czekamy, a nuż w sercu rzeźnika obudzi się uczucie miłości bliźniego. Wreszcie rzeźnik nóż już do gardła przykłada, już wyskubuje z pod gardła kłaki, aby tym pewniej chlasnąć, ale my jeszcze nie tracimy nadziei. A nuż w rzeźniku przemówi głos serca! Cha, cha, barany, barany!... Ot choćby i z tymi naszymi żołnierzami. Już każdy przecie zdążył się przekonać, że wyprowadzono go tu nie dla czego innego, ale prawdziwie jak barana na rzeź. I tyle już nakładło im się we łby, co i jak mają robić, ażeby ujść można, a pożytek z tego jaki? Parę tysięcy uświadomionych, podczas gdy jest tu nas na placu boju paręset tysięcy. — Już człowiekowi wobec tego i ręce opadają. Niby się robi, bo się już zaczęło robić, ale!... Ot widzisz i teraz nadrukowałem tu nową porcję. Ale czy będzie z tego jaki pożytek?

Jędrek spojrzał na stos zadrukowanej bibuły z dość widocznym lekceważeniem.

— Proszę pana, jabym coś rzekł, boję się tylko, żeby się pan nie rozgniewał. Mnie się widzi, że tu coś nie tak się robi, jakby się robić powinno, nie widać w tym całym interesie tego zaczenienia, do którego człowiek mógłby się przypiąć i już potym gnać na ślepo.

Okopowicz spojrzał na niego z pewną urazą.

— Jędrek, Jędrek! czy i ty już, ty?!...

Jędrek spokojnie potrząsnął głową.

— Nie, proszę pana, to nie! Ja mam z nimi swoje porachunki, za które do śmierci nie przepuszczę! Na tom poprzysiągł. Ale co do całej tej niby roboty! Po mojemu, po chłopsku, to tak by wypadało: bez długich korowodów za łeb i w mordę! A tymczasem robi się jakoś tak, że my ich tymi papierkami, a oni nas za łeb. Bez to naszemu chłopu i

serce do takiego interesu nie przystaje, że to niby nie widzi końca, nie może być pewnym tej chwili, kiedy i sam nareszcie będzie mógł wziąść za łeb!

Okopowicz słuchał z szeroko otwartymi oczami, jakgdyby zupełnie nowa prawda wlewała mu się do uszu, jednakże próbował uśmiechnąć się sceptycznie.

— Hm, widzisz, to niby prawda, tak by istotnie było najlepiej. Ale zważ-że sam, jakby to te twoje zachcenia mądre wprowadzić w działanie. Czy jest na to jaki sposób, gdy—jak sam widzisz—tak mało znajduje się takich, którzy nietylko radzi słuchają, ale którzy też radziby i coś robić?

— Hm, a bo to widzi pan dlatego, że niby do chłopów, a nie po chłopsku. Po mojemu, to ten interes tak by robić należało...

W tym miejscu Jędrek urwał raptem. Za drzwiami rozległo się silne kołatanie i jednocześnie odezwał się szorstki rozkazujący głos:

— Otworil!

Obaj zerwali się ze swoich miejsc i spojrzeli po sobie wystraszonemi oczyma.

— Co to?—szepnął Jędrek.—O rety!

Dobijanie wzmagało się, jednocześnie głos rozlegał się w tonie bardziej rozdrażnionym.

— Otwieraj, bo każę drzwi wyłamać!

Za drzwiami słychać było zgiełk i tupanie, jakie mogła była sprawić tylko gromada ludzi, składająca się z kilkunastu osób.

Drzwi, zabezpieczone ryglami, które mogły były ochraniać zaledwie przed tym, by ktoś nie wszedł niespodzianie, nie zaś, by stanowić zaporę przemocy, zaczęły już giąć się i ustępować pod uderzeniami.

Przez jeden moment obaj biegali zupełnie bezradnie.

Wreszcie Jędrek pierwszy z przebłyskiem jakiejś jasno określonej decyzji przypadł do okna i wyrwał pęk zatykającej je słomy.

Wytknął ostrożnie głowę i w tymże momencie cofnął się z powrotem.

— Proszę pana, tu stoi trójka Bezsonowa. Już on nie darmo tu przyjechał. A no, w imię Boże! To mówiąc, z całym możliwym pośpiechem zaczął się przeciskać przez okno nazewnątrz.

Już będąc na dachu, jeszcze raz wetknął głowę z powrotem.

— Za mną, panie, a żywo! Tu ludzi nie widać, jeno sam kuczer. Już ja z nim poradzę. Wysoko stąd ale wola Boża. Ho—op!

Okopowicz usłyszał jeszcze głuchy odgłos spadającego z wysokości ciała, potem jeszcze jakiś chwilowy charkot.

Już stawiał sam nogę na ramę okienną.

I naraz przemknęła mu przez głowę głupia myśl:

— Jakto?! Tak podle umykać, pozostawiać im to wszystko na łup?! Opuszczać stanowisko!

Ta krótka, jak mgnienie oka chwila niemądrego zastanowienia zgubiła go.

W tymże momencie słabe drzwi, wyrwane wraz z zawiasami, rypnęły na podłogę, a do pokoju wpadła czereda żołnierzy z Bezsonowowem w dośrodku.

Okopowiczowi błysnęła jeszcze bohaterska myśl by drogo sprzedać swoje życie.

Lecz zanim zdążył doskoczyć do stołu, gdzie spoczywał rewolwer, już zamaszystym uderzeniem pięścią w łeb, został powalony na ziemię. W drugim momencie leżał już obezwładniony jak baran na podłodze, jeden żołnierz siedział mu na nogach, drugi na żebrach, trzeci podlejszą częścią swego ciała ugniatał mu głowę.

Upadłszy gębą do ziemi, nie mógł mieć nawet tej satysfakcji, by tego ostatniego ugryźć.

W tej chwili całą jego świadomość zapełniały gorzkie refleksje na temat niesławnego zgonu i znikomości wszelkich usiłowań ludzkich.

— A może ten, który oto najbardziej gniecie mnie w tej chwili, to jest także polak!

Tymczasem Bezsonow z doświadczeniem starego wyżła węszył po zdobytym terenie.

Przerzucił szybko stos leżących na podłodze kartek, wywrócił do góry nogami pakę, ściągnął z tapczana siennik, opukał pałką ściany.

— Swołocz!—zakonkludował jako ostateczny wynik tych oględzin.—A gdzież wspólnicy?

Tu spojrzał na wydartą z okna słomę i domyślił się, czego zresztą domyślić się nie było trudno.

Przyskoczył do Okopowicza i z precyzją kopnął go szpicem buta w żołądek.

— Mów, podlec, gdzie się podziała reszta i ilu was było?

Okopowicz uznał w tym miejscu za stosowne spojrzeć na niego ze wzgardą, o ile to wogóle było możliwym przy patrzeniu z pod siedzącego na nim szerokiego w zadzie kacapa i przytym z dołu pod górę.

— A, nie chcesz dobrowolnie! No, znajdziemy na ciebie sposób. Ej!—skinął na paru żołnierzy — zbadać tam pod oknem na śniegu świeże ślady. A tego panicza rozebrać do naga i również na dół. Słyszałeś zapewne, braciszku, o tym kozaku, co go ktoś tam w trzaskający mróz kazał zimną wodą oblewać, dopóki się nie zamienił w słup lodu? Mrozu, chwalić Boga, i teraz nam nie brak, no i ciebie to samo czeka, jeżeli nam wszystkiego nie wyśpiewasz!

Żołnierze na dany rozkaz powstali z Okopowicza i zaczęli z niego ściągać skromne, a i to pożyczone szaty.

Okopowicz poddawał się tej operacji bez oporu i bez szemrania, jako że jedno i drugie byłoby bezcelowe. Jednakże nie mógł się oprzeć coraz bardziej przenikającemu go wewnętrznemu przeświadczeniu, że interes bądź co bądź zapowiada się głupio.

Pod wpływem nawału gorzkich myśli, które się na niego zwaliły, zdobył się raptem na coś, czego jeszcze na jedno mgnienie oka przed bezpośrednim wykonaniem nie byłby sam po sobie przypuszczał.

Oto z głębi wezbranej goryczą duszy skupił się z całym zasobem tchu i nagle, a celnie splunął panu Bezsonowowi prosto w oczy.

Pomysł w założeniu był idjotycznym, jednakże w skutkach okazał się na razie zbawiennym, gdyż trzymający go żołnierze, występując w obronie poszwankowanego honoru naczelnika, tak gorliwie zabrali się do szukania satysfakcji na zuchwałym sprawcy, że tenże w mgnieniu oka z wybitymi paroma zębami, ze zruszonym obojczykiem i z obficie spływającą z nosa krwią, padł omdlały na ziemię.

A że w zamrażaniu omdlałego człowieka, a więc nie czującego, nie mogło być oczywiście żadnej przyjemności, więc z natury rzeczy zajmujące widowisko musiało być odłożone na później.

Bezsonow wypadł z placu boju wściekły, ale z drugiej strony i nie mniej radosny.

Miał teraz w rękach zdobycz, którą mógł zatkać gębę zbyt niecierpliwemu wodzowi, a prócz tego miał niezawodny plan dalszego postępowania, który szczęśliwie zaświtał mu w głowie, gdy patrzał na kupy nagromadzonych w tej kuźnicy zdrady wszelkiego rodzaju odezw.

Zrobić rewizję w całej armji, nie opuszczając ani jednego kaszewara, i u kogo znajdzie się podobna odezwa, temu strzelić w łeb.

Czyż mogło być coś bardziej prostego?

~~~~~

ŚLUB.

„Kogo się nieszczęście imie, ten sobie nos wycierając—palec wywinie".

Przysłowie to czysto polskie, ale mające często zastosowanie i względem ludzi czysto ruskich.

Miał kapitan Reitzenstein szlachetne zamiary wyratowania z matni floty portarturskiej—i wpędził ją w otchłań.

Chciał uratować choć jeden powierzony jego osobistej pieczy statek, i zatopił go pod Sachalinem, przyczem o mały włos sam nie utonął.

Chciał następnie z Sachalina trafić do Petersburga jeszcze przed wyruszeniem stamtąd floty bałtyckiej — i dżonka na której wyruszył, została wpędzona z powrotem do portu przez najpospolitszych, ale będących w liczebnej przewadze rybaków japońskich.

Zapragnęło mu się wreszcie oczekiwać na przybycie tej floty w jednym z portów indochińskich. I tym razem szczęśliwie udało mu się przemknąć się z Sachalina do Władywostoku, następnie nie mniej szczęśliwie, a nawet z komfortem, odbył podróż z Władywostoka do Mukdenu.

Ale gdy w Mukdenie wysiadł z pociągu, by parę dni odpocząć, a jednocześnie wręczyć Kuropatkinowi poufne listy od Skrydłowa, na pierwszym kroku poślizgnąwszy się, upadł i przy tej miłej sposobności zapoznania się nosem i zębami z mukdeńskim brukiem, najdokładniej złamał też sobie lewą nogę w samej kostce.

To znów dostarczyło mu dalszej miłej sposobności do zapoznania się z mukdeńskim szpitalem.

Ordynował Tyszka.

Kapitan klął, jak najordynarniejszy dryndziarz, i ze zniecierpliwienia rzucał się jak ryba, udaremniając tem dokładne założenie gipsowych bandaży.

Gdy jedna i druga próba spełzła na niczem, zniecierpliwiony również młody lekarz zapytał grzecznie, acz bardzo znacząco i zimno:

— Czy wolno zapytać o powód takiej nerwowości?

Reitzenstein zrobił na niego oczy, jak talerze.

— Zwarjowałeś chyba kochany doktorze! Ja tu śpieszę, przeklęty ten wypadek krzyżuje mi wszystkie plany, a ten zapytuje dlaczego jestem nerwowy!

Tyszka spojrzał na niego jednem ze swoich ciężkich spojrzeń.

— Sądzę, że to raczej ja mam z warjatem do czynienia. Bo cóż my winni, że ktoś jest o tyle niedołężnym, by na równej drodze nogi sobie łamał, a potem w nieuzasadnionej pretensji chciał nadto spędzać gniew na tych, którzy mu chcą dopomódz.

Reitzenstein spłonął, jak rakieta i już miał wybuchnąć. Ale najniespodzianiej przemówienie to przywróciło go do należytej równowagi.

— Wybacz, kochany doktorze, ten wypadek istotnie wyrządził mi tak wielką psotę w moich planach, że chwilami nie mogę jeszcze zapanować nad sobą.

Szczerość, z jaką słowa te wypowiedziane zostały, ujęła rozsierdzonego Tyszkę i natchnęła go sympatją dla impetycznego pacjenta.

Skinął głową z uśmiechem i na moment z całem skupieniem zabrał się do opatrzenia nogi.

Pomimo wielkiego bólu, jakiego musiał przytem doznawać, Reitzenstein przez cały czas operacji nie drgnął nawet, zdawał się wogóle nie zwracać uwagi na to, co się z nim w tej chwili działo, i w zadumie spoglądał przez okno w dal.

Tyszka kilkakrotnie spojrzał na niego z uznaniem.

— Już — rzekł wreszcie, zadziergnąwszy ostatni węzeł bandażu. — Za jaki miesiąc będziesz pan mógł udać się w dalszą podróż.

Reitzenstein spojrzał na niego z raptownem przerażeniem.

— Jakeś pan powiedział? Za miesiąc?! A niechże pan... niech pan zdrów będzie! Za miesiąc, to ja już wogóle nie będę miał po co jechać.

— Na spotkanie floty bałtyckiej? O, sądzę, że jeżeli spotka ją jeszcze parę takich wypadków, jak ten ostatni, to jeszcze pan ma czas...

— Jakich wypadków, o czem pan mówi?...

— Jakże? To nie słyszał pan jeszcze o tej sławnej „naumachji" pod Hull?

— Pod H...u...?!

No, a jakże! Odnieśliśmy tam wielkie zwycięstwo. Rosyjskie okręty przez parę godzin z bardzo dobrym skutkiem strzelały same do siebie... Trofea wojenne—jeden zabity pop i kilku marynarzy. Prócz tego poszło na dno kilka łodzi rybackich, które po nocy zostały wzięte za flotę japońskich torpedowców.

Reitzensteinowi omal oczami żywa krew nie trysła.

— To fałsz — wrzasnął. — Podły, oszczerczy fałsz!

Zerwał się z ławy, zapomniawszy o swej złamanej nodze, lecz w tymże momencie upadł z jękiem z powrotem.

— Psiakr...! syknął mimowoli.

Z bólu zbladł, jak trup, przez chwilę pasował się z sobą, nie mogąc słowa przemówić i zgrzytając zębami.

— Skąd pan przyszedł do tych wiadomości? — zapytał wreszcie ostro.

Tyszka w milczeniu wyjął z bocznej kieszeni numer angielskiej gazety i podał mu go, zaznaczając paznokciem naczelny artykuł.

Reitzenstein przeczytał jednym tchem.

Skończył, lecz jego rozgorzałe oczy wciąż jeszcze zdawały się gorączkowo szukać czegoś pomiędzy wierszami, zdawały się całą treść przeczytanej wiadomości przenosić żywcem do mózgu i utrwalać na wieki na jego boleśnie podrażnionej korze.

Skończył już. Ręka, trzymająca gazetę, opadła mu na kolano, lecz oczy wciąż jeszcze trzymał utkwione nieruchomo w drobne literki, które złożyły się na uwiecznienie hiobowej wieści, a które teraz zdawały się jak małe czarne djabliki, podrygiwać wesoło swymi powykręcanymi tułowiami i bezczelnie drażnić kapitana migotaniem szybko latających ogonków i języczków.

Te nieprzyjemne wrażenia kłuły go zupełnie dotykalnie w szeroko rozwarte oczy, jednakże oczami temi zdawał się w tej chwili nie widzieć nic z tego, co się naprawdę przed niemi działo.

Natomiast nie patrząc, zapatrzony był i zasłuchany w tę kuźnię djabelską, która się w nim samym rozlegała.

W serce jego uderzały widać w tym momencie liczne młoty i o rozmaitem napięciu uderzenia, bo naprzemian to cały oblewał się szkarłatem, to znów z pod halsztuka wypełzała mu trupia bladość, która ciemną chmurą przewalała się przez twarz i kryła się pod korzeniami włosów nad troską zoranem czołem.

Z drżących warg padały jakieś wyrazy, nie głośne, lecz ciężkie, jak kamień.

— Swołocz!—szepnął w pewnej chwili.—Podła swołocz.

Szept ten — zdało się — samego go spłoszył.

Spojrzał na Tyszkę przelotnie, jakby się ocknął, i podał mu gazetę.

— Dziękuję! — rzekł.

Potem spróbował powstać o własnej sile i, nie podnosząc oczu, zapytał cichym, dziwnie niepewnym, dziwnie zgnębionym głosem:

— Cóż teraz ze mną — gnojem — zrobicie? Czyż nie lepiej by było — gnój do gnoju — wyrzucić gdzieś na śmiecie?

Tyszce zrobiło go się naraz dziwnie żal. Podszedł szybko, podstawił mu ramię.

— Proszę się oprzeć mocno. Nie trzeba upadać na duchu. Zobaczysz kapitanie, jeszcze pan
~~~~~

Pogadanki Naukowe.

WIEŚ WE FRANCJI.

Rolnik we Francji, zamożny i spokojny, składa znaczne kapitały do kas oszczędności— pożycza nawet czasem swemu państwu; za jego pieniądze budują we Francji koleje, zaprowadzają poczty i telegrafy, płacąc procenty tym drobnym kapitalistom.

Jednak i tam warunki gospodarstwa rolnego nieraz są trudne. Dzieci, dzieląc się pomiędzy sobą dziedzictwem, a chcąc jaknajsprawiedliwiej dokonać działu, często każdy gatunek ziemi dzielą osobno. Gospodarze mają grunta nie w jednym kawałku, lecz w kilku nieraz odległych od siebie polach, czyli w szachownicy. Wiadomo, jak takie rozdzielenie ziemi utrudnia uprawę, zwiększa ilość nieużytków przez liczne miedze, ścieżki, drogi oddzielające jedno pole od drugiego. Zaprowadzenie też kosztowniejszych ulepszeń ziemi, osuszeń przez przekopywanie kanałów nie daje się wykonać w takich pokawałkowanych gospodarstwach.

Niedogodnościom tym starają się francuzi zapobiedz, zawiązując spółki rolnicze. Dzięki działalności spółek, wydajność ziemi francuskiej zwiększa się przez zastosowanie umiejętnej uprawy. Tam, gdzie niegdyś zbierano zaledwie nędzne żyto, dziś rośnie pszenica, pochylając się od pięknych, ciężkich kłosów.

Wsie francuskie, przeważnie murowane, z licznymi sklepikami i piekarniami mają pozór miasteczek.

Najczęściej wzdłuż długiej, brukowanej ulicy ciągną się szeregi domów na jeden wzór pobudowanych. Na dole wielka sień, obok kuchnia i izba czeladna, zastawiona długimi stołami i ławami. Z drugiej strony sieni są pokoje sypialne, z wygodnie zasłanymi łóżkami. Na górze najczęściej mieszczą się pokoje.

Gospodarz i gospodyni pracują razem z czeladzią, jadają razem i ubierają się tak samo. Niebieska bluza, takież spodnie i drewniane chodaki na nogach, zwane sabotami, wyrabiane przez samych wieśniaków,—stanowią zwykły ubiór używany przy pracy. Za to w niedzielę i święta mężczyźni przybierają się w czarne miejskie surduty, kobiety w jedwabne suknie i kapelusze z kwiatami. Zrana idą do kościoła na mszę, spożywają obiad na dole, następnie zaś otwierają pokoje gościnne i tam przyjmują gości, idą na tańce, które bardzo lubią, lub do teatru.

W niektórych już tylko zakątkach, n. p. w Bretanji, zachował się strój narodowy, który u kobiet odznacza się najrozmaitszymi ubraniami głowy z lekkiego białego muślinu.

Rolnicy francuzcy mają dużo podobieństwa do naszych mieszkańców wsi; nadzwyczaj pracowici i oszczędni wolą zawsze schować grosz niż go wydać na udogodnienie i uprzyjemnienie sobie życia. Rzadko też można spotkać takie przywiązanie do rodziny i swego kawałeczka ziemi, jak tutaj. Ostatnimi czasy uczeni francuzcy zaczynają zastanawiać się nad tym, czy taka zbytnia oszczędność jest dobra dla kraju. Za przykład stawiają sąsiednią Anglję, w której ludzie urządzają się całkiem inaczej. Tam też każdy tęgo pracuje, ale dlatego, żeby żyć jak można najlepiej i jak najwygodniej, nie dbając nadmiernie o to, co dzieciom zostawi. We Francji przeciwnie, jak to mówią—od ust odejmą, aby ziemię zostawić synom, a córki zaopatrzyć w przyzwoite posagi. Taki sposób postępowania sprawia to, że w Anglji ogólnie ludzie żyją lepiej niż we Francji.

Zyskują na tym fabrykanci, handlarze, rzemieślnicy, a przez to i kraj cały. Dzieci znów nie oglądają się na to, co im rodzice z łaski swojej zostawią—pracują same, licząc tylko na własne siły i zdolności. Wyrabia to w młodzieży angielskiej dzielność i przedsiębiorczość. We Francji zaś przeciwnie — daje się spostrzegać pewne ospalstwo i niechęć do tworzenia samym sobie losu.

To też najmniejszy kawałeczek ziemi, odziedziczony po ojcach, lub też jaka nędzna, lecz ze stałą pensją posada jest marzeniem większej części francuzów. Mniej dbając o wygody życia, skrzętnie odkładają każdy oszczędzony grosz, stąd nagromadzają się duże kapitały; ale te sumy przynoszą mały procent, bo pieniądz sam przez się nic stworzeć, ani zdziałać nie może i dopiero w połączeniu z pracą i zdolnościami człowieka staje się olbrzymią potęgą.

F. M.

Rozmaitości.

SZTUCZNY DESZCZ.

Czy można deszcz wywołać sztucznym sposobem? Kwestja ta wypłynęła w Nowej Zelandji i przy tej sposobności przypomima »Journal des Débates«, że jednym z pierwszych pionierów tego pomysłu był francuz, niejaki Karol Maout, na myśl zaś o wywołaniu sztucznego deszczu naprowadziła go... wojna krymska. Mianowicie podczas oblężenia Odessy w r. 1854 zauważył Maout, że dnia 22 Kwietnia niebo pokryło się nagle chmurami, potym spadł deszcz i nadbiegł gwałtowny wiatr, któremu towarzyszyło nagłe podniesienie temperatury. Jak się potym okazało, zjawiska te miały miejsce w godzinę po bombardowaniu Odessy. P. Maout zwrócił na to umowę. W parę miesięcy później, d. 5 listopada, zauważył w St. Brieux, gdzie mieszkał takie same objawy i nazajutrz napisał do ministra wojny, że »dnia wczorajszego odbyła się na Krymie wielka bitwa«. Telegrafu jeszcze niebyło, więc minister nie taił sceptycyzmu, który znikł, gdy w 11 dni nadeszła wiadomość o bitwie pod Inkermanem.

Na podstawie podobnych obserwacji p. Maout sformułował teorję wytwarzania sztucznego deszczu przez wstrząśnienie atmosfery, i popierał ją dowodami, przyczym sięgał aż do historji. Pod Crécy w 1346 r., gdzie po raz pierwszy użyto artylerji na początku bitwy — jak powiadają kroniki—»lunął wielki deszcz z grzmotem i piorunami z jasnego nieba.« Wiele innych bitew odbyło się wśród niespodziewanego deszczu, tak np. pod Montebelli, Varese, Vecell Palestro, Solferino, Magentą i t. Przez całą kompanją włoską każdy wieczór bitwy przynosił deszcz lub burzę; gdy zawarto pokój, niebo rozjaśniło się—twierdził p. Maout na podstawie zapisków i pamiętników współczesnych, posuwając się w swych twierdzeniach często na granicę dobrego humoru gdy np. utrzymywał, że »myśliwi wiedzą iż wystrzał ze strzelby spowoduje deszcze«. Niemniej wesoło przyjęto argument p. Maout, że każde wstrząśnienie powietrza powoduje deszcz, czego dowodem, że najczęściej trafiają się wielkie deszcze na Boże Narodzenie, na Wszystkich Świętych, na Wielkanoc i na Zielone Świątki, gdy dzwoni się we wszystkich kościołach.

Najpewniejszym rezultatem badań p. Maout jest to, iż nic tak nie obala teorji, jak wyciąganie z niej krańcowych konsekwencji.

Mimo to, p. Maout znalazł stronników. W stanach Zjednoczonych przedsięwzięto nawet eksperymenty oparte na jego teorji. W Texas w 1891 r., podczas bardzo suchego lata, zaczęto puszczać balony, które eksplodowały w górze i rzeczywiście, jeżeli mamy wierzyć sprawozdaniom, rezultat nie był zły. W każdym razie miało okazać się, że jeśli pogoda jest niepewna i grozi deszczem, to wybuchy balonów przyśpieszają opad. Były to zresztą jedyne doświadczenia i od r. 1891 nie mówiono więcej w rolnictwie o sztucznym deszczu.

Dopiero rok temu, w Nowej Zelandji, podjęto je na nowo w charakterze urzędowym, o czym zdaje sprawę »Monthly Weather Rewiew w nr. 7 z 1908 r. Doświadczenia odbywały się w okręgu Osmaru, położonym bardzo niekorzystnie, gdyż z trzech stron otoczonym górami, które »wychwytują« chmury dążące tam i wypróżniają je na własny użytek. Jedynie od wschodu można się spodziewać deszczu, jeżeli nie przeszkodzą mu rozliczne inne niekorzystne wpływy. Podczas suszy miesiącami nie widzi się kropelki deszczu, średni zaś opad w ciągu lat czterdziestu wynosił 55 cm., z »maximum« 82 »minimum« 33 cm. W r. 1907 panowała susza, pola były puste; ażeby wyżywić bydło, trzeba było sprowadzać paszę, niektórzy właściciele wysyłali je w okolice mniej dotknięte klęską. Straty obliczano na 25 miljonów, mimo że znaczna część inwentarza poszła na konserwy.

Przypomniano więc sobie doświadczenia czynione w Texas, otwarto listę składek i wkrótce można było przystąpić do działania, zwłaszcza, że rząd udzielił materjałów wybuchowych po cenie kosztu i przysłał urzędowego meteorologa do kierowania próbami. Nie kierowano się przytym naiwną ideą p. Maout, że ażeby wywołać deszcze, dość narobić hałasu, gdyż wiedziano, że eksplozje nie przysparzają powietrzu wilgoci. Doświadczenia oparły się na tezie, że tylko wtedy można liczyć na powodzenie w sprowadzeniu „sztucznego deszczu“, jeżeli atmosfera jest do pewnego stopnia przesycona wilgocią i ukazują się chmury. Meteorolog starał się udzielać jak najlokładniejszych wskazówek, kiedy można liczyć na zebranie się i przeciąganie chmur.

Pierwszy raz wystrzelono trzykrotnie, spalając kolejno 25, 30 i 60 funtów prochu, zmieszanego z dynamitem. Deszcz nie spadł. Za następną próbą zwiększono naboje lecz eksperyment nie mógł być dokładnie stwierdzony, gdyż deszcz spadł wprawdzie po wystrzałach, lecz—padał już i przed nimi. Za trzecim razem, mimo, ze barometr wskazywał blizki deszcz i strzelano kilkanaście razy z wielkim nakładem prochu, rezultat był równy zeru. Przy wszystkich trzech doświadczeniach deszcze silne spadły o kilkanaście i kilkadziesiąt kilometrów od miejsca prób, co napawało komitet przeświadczeniem, iż przyczyną tego były wystrzały; meteorolog był wprost przeciwnego zdania i nie widział żadnego związku między strzałami w jednym, a deszczem w drugim miejscu.

W ten sposób zakończyły się doświadczenia nowozelandzkie, pomyślnie o tyle, iż podczas wyczekiwania na czas sposobny do „ustrzelenia deszczu“, deszcz przyszedł sam i potrwał dłuższy czas. Nawet komitet, urządzający te eksperymenta, nie twierdził zresztą ażeby przerwanie suszy było wynikiem strzałów. Meteorolog urzędowy wogóle traktuje nie na serjo p. Maout, opierając się w swej krytyce nie tyle na historji bitew, ile na badaniach przyrodniczych, a rozumuje tak: skoro ma deszcz powstać, muszą ziścić się dwa warunki: powietrze musi posiadać pewną ilość wilgoci, w stanie takiego nasycenia musi się oziębić. Czy strzał z działa jest w stanie sprowadzić bądź zawilgocenie powietrza, bądź jego oziębienie? Co do pierwszego, to niezawodnie przy strzale powstaje pewne quantum pary wodnej, lecz w stosunku do miljonów metrów sześciennych powietrza nie ma to większego znaczenia, jak kropla wody w ogromnym stawie. Co do oziębienia, to strzał może działać tak chyba, że nagle ogrzewałby powietrze, które wracało by do dawnego stanu, t. j. oziębło się. I tu jednak rozmiary eksplozji i jej skutków są zbyt drobne, ażeby mogły oddziałać na przestworza powietrzne. Gdyby 190 czy 200 kilo dynamitu mogło sprowadzić deszcz na przestrzeni paru kilometrów kwadratowych, to strzał z rewolweru musiałby mieć taki sam skutek, gdyby padł np. w dużej skrzyni. Takie zaś doświadczenie nigdy nie wydało i nie wyda rezultatu.

Słowem, próby sprowadzenia sztucznego deszczu nie powiodły się i rolnicy nowozelandzcy muszą dalej zdawać się na łaskę chmur. Brak rezultatu nie wynika tu zresztą ze złego ujęcia problemu, tylko z braku środków dość potężnych, ażeby dobrą ostatecznie koncepcję urzeczywistnić. Gdyby, mianowicie, powietrze było przepojone wilgocią w ostatecznej mierze i gdyby wystrzał mógł być dość silny, w takim razie deszcz sztuczny stałby się rzeczywistością. Pierwsze zdarza się bardzo często... drugie jednak nie odpowie oczekiwaniom, i dlatego, mimo teorji p. Maout, albo deszcz będzie naturalny, albo go wcale nie będzie.

EKSPEDYCJA DO BIEGUNA PÓŁNOCNEGO.

Przygotowuje się w Ameryce na wielką skalę ekspedycja do bieguna północnego. W Nowym Jorku studjuje mechanikę i naukę nawigacji Eskimos Meme Wallace, który został przywieziony do Ameryki, jako 6-letni chłopak, przez słynnego badacza ziem podbiegunowych, Peary'ego. Meme Wallace jest przekonany, że uda mu się namówić swych współplemieńców do tej ekspedycji, która musi się z ich pomocą zakończyć pomyślnie, albowiem Peary tylko dlatego nie dotarł do bieguna, że mu Eskimosi odmówili wskazówek. Jest to pierwszy Eskimos, który poddał się cywilizacji. Przedstawia on dobrze rozwinięty typ Eskimosa o ciemno-żółtej skórze, o oczach w kształcie migdała i czarnych, jak smoła, włosach. Amerykański badacz polarny, Rauford, pokłada w nim wielkie nadzieje i twierdzi, że odegra on wśród swoich rodaków rolę pierwszego pioniera cywilizacji.

SZCZEP LUDZI PIERWOTNYCH.

Szczep ludzi, którzy nigdy jeszcze nie zetknęli się z ludźmi białymi, odkrył niedawno Howard na wyspie Mornington, należącej do archipelagu wysp Wellesleya w zatoce Karpentarskiej. Ta dotychczas zupełnie niemal nieznana wyspa, jest przeszło 200 kilometrów długa, natomiast w najszerszym miejscu tylko 14 klm. szeroka. Tryb życia jej mieszkańców jest trybem życia ludzi pierwotnych. Nie posiadają domów mieszkalnych, a zadowalają się tylko otoczeniem swojego legowiska płotem dla ochrony przed wiatrem. Żywią się orzechami pandanu, rybami i korzonkami.

NOWY MATERJAŁ DO BUDOWY OKRĘTÓW.

W technice budowy okrętów zaczyna zyskiwać miejsce asbest. Niepalność asbestu, złe przewodzenie ciepła i elektryczności, wielki opór na wpływ kwasów, na uderzenia i wstrząśnienia, zapewniły mu już od dawna szerokie zastosowanie w rozmaitych gałęziach techniki i przemysłu. W ostatnich latach przemysł asbestowy rozkwita coraz wspanialej, zwłaszcza w Niemczech powstało wiele fabryk, stosujących ten materjał do różnych celów i wyrobów. Nowe zastosowanie otwiera się obecnie dla asbestu — przy wewnętrznym wyekwipowaniu okrętów wojennych. Użycie drzewa do tego celu jest absolutnie wykluczone, raz z tego względu, że jest ono łatwo zapalne i grozi niebezpieczeństwem pożaru, powtóre dla tego, że w razie uderzenia kulą działową rozpryskuje się na drzazgi, które rozlatując się dokoła, mogą bolesne i ciężkie zadawać rany. Dlatego też w nowszym czasie zastąpiono prawie wszędzie na okrętach wojennych drzewo żelazem i oprócz ścian i pował sporządzono z tego materjału także meble i inne sprzęty okrętowe.

Inowacja ta okazała się pod wieloma względami niekorzystną. Żelazo jest materjałem ciężkim i stosunkowo drogim, przewodzi ono dobrze ciepło, fale dźwiękowe i elektryczność, ma wreszcie niełądny wygląd zewnętrzny. Pokrywanie mebli cienką warstewką masy korkowej lub innego materjału zaradza wprawdzie temu ostatniemu brakowi' ale znowu znacznie podnosi koszta. To też z tych wszystkich względów używanie żelaza było „złem koniecznem“, którego nie dało się uniknąć, póki by nie wynaleziono innego materjału, mogącego go zastąpić.

W ostatnim czasie udało się jednej z fabryk hamburskich w ten sposób przetworzyć asbest, że nadaje się on zupełnie do zastąpienia żelaza i drzewa w wewnętrznym wyekwipowaniu okrętów. Nowe płyty asbestowe, nazwane także drzewem asbestowem, można piłować, heblować, można przebijać gwoździami i obrabiać w rozmaity sposób. Posiadają one znaczną wytrzymałość, a pokryte fornirem wyglądem nie różnią się niczem od drzewa, chociaż nie posiadają wszystkich jego wad. Zarówno co do wagi jak co do ceny, przewyższają znowu żelazo. Do tego przyłącza się i to także, że ściany i powały asbestowe źle przewodzą ciepło, elektryczność i fale głosowe, że meble asbestowe nie rozpryskują się na drzazgi i że przedewszystkiem są niezapalne. Te wszystkie zalety zapewnią zapewne „drzewu asbestowemu“ rozległe zastosowanie w technice budowy okrętów wojennych.

CUDA FAKIRÓW.

W ciekawej książce „Fakirowie w starożytnych i współczesnych Indjach“ zebrał autor niemiecki p. Schmidt bogaty materjał o Fakirach-Joginach. Na fakirów w ogólności zapatruje się autor sceptycznie, uważając ich za sprytnych oszustów, nic nie mających wspólnego z jakąkolwiek siłą nadprzyrodną: wyjątek wszakże stanowią właśnie Joginowie, których nauka zasługuje bezwarunkowo na zbadanie umiejętne.

P. Schmidt opisuje doświadczenie niejakiego Hassana-Kana, który zresztą nigdy nie był fakirem z zawodu, ale czasem w ciasnem kółku dokonywał istotnie rzeczy niezwykłych. Zalecał np. jednej z osób obecnych prosić o wino: należało wtedy wyciągnąć tylko rękę za drzwi lub pod stół, a w tejże chwili w ręku znajdowała się butelka z etykietą znanej w Kalkacie firmy; tą samą tajemniczą drogą ukazywały się ciasta, cygara etc. Hassan równie chętnie pokazywał to w wagonie w podróży.

Ciekawe „cuda“ niejakiego Gowinslowanima, opisuje jeden z naocznych świadków seansu: „Rozsypaliśmy drobny piasek po podłodze, ja zaś usiadłem przy stole, mając w ręku ołówek i arkusz papieru białego; fakir położył ostrożnie laskę drewnianą na piasek i oznajmił mi: W chwili gdy laska podniesie się, możesz rysować, co zechcesz na papierze, ona odda rysunki twoje na piasku. Fakir wyciągnął rękę przed siebie, laska zaczęła się poruszać i znaczyć na piasku najwyszukańsze rysunki, kreślone przezemnie na papierze. Gdy zatrzymałem się, laska stawała nieruchomie, próbowałem zakrywać swoje rysunki, ale nie miało to żadnego wpływu na tajemniczą laskę. Fakir stał z daleka, oparty o ścianę“.

JĘZYK CZERWONOSKÓRYCH.

Z plemienia Nawajów, w Tohatchi w Meksyku otrzymał niedawno swój alfabet. Twórcą tego alfabetu jest misjonarz amerykański L. P. Brink, który włożył w swoje dzieło bardzo wiele pracy. Szczególniejsze trudności nastręczały dźwięki krtaniowe, zgoła nie znane i niemożliwe do oznaczenia łacińskiemi literami. Mr. Brink tłómaczy obecnie dla czerwonoskórych biblję, walcząc również z wielkiemi przeszkodami; język Nawajów bowiem posiada np. 12 rozmaitych wyrazów o znaczeniu „dawać“, stosownie do przedmiotu dawania; jeszcze gorzej rzecz ma się z obfitością wyrażeń dla słowa „jeść“ oznaczających zarazem każdy rodzaj pokarmu.

Praktyczne Rady.

Świeże powietrze i światło słoneczne są niezbędne do utrzymania zdrowia, dlatego staraj się, by do twego mieszkania, a szczególniej sypialni jak najwięcej świeżego powietrza i słońca wchodziło.

Hartuj twoje ciało codziennym myciem lub nacieraniem zimną wodą. Kąpiele letnie od czasu do czasu są bardzo wskazane dla utrzymania czystości ciała.

W lecie urzywaj często kąpieli rzecznej, o ile możności w miejscu, któreby było wystawione na działanie słońca. Kąp się krótko, najdłużej kwadrans; po kąpieli dobrze wycieraj ciało i rozgrzej się przechadzką.

Rano i wieczorem, oraz po każdem jedzeniu płucz usta i gardło wodą.

Używaj jak najczęściej ruchu(bieganie i skakanie, ćwiczenia gimnastyczne, pływanie, ślizganie, praca w polu i ogrodzie).

Nie ubieraj się za ciepło, głowę miej lekko przykrytą, a szyję odkrytą. Nie używaj krochmalnych koszul, kołnierzy wysokich, nie ściskaj się paskami, podwiązkami, gorsetami, sznurówkami.

Nie noś obuwia ciasnego. Obczasy powinny być niskie, a szerokie. Nie chodź nigdy w przepoconym obuwiu.

Bądź umiarkowany w jedzeniu i piciu, a jadaj ile możności w stale oznaczonych godzinach. Nie jedz niedojrzałych lub zepsutych owoców, ani trudno strawnych potraw, a łakoci jak najmniej. Jadaj bez pośpiechu i dobrze żuj każdy kąsek. Nie używaj zbyt zimnych ani zbyt gorących potraw i napojów. Nie połykaj pestek, nie bierz do ust igieł, szpilek, i wogóle ostrych przedmiotów.

Nie dłub w zębach, nie gryź i nie szarp zębami twardych przedmiotów, nie czytaj w czasie jedzenia i nie rozmawiaj, mając w ustach pokarmy.

Kładź się spać wcześnie, ale też wcześnie wstawaj. Nie przykrywaj się zbyt ciepło.

MŁODE MAŁŻEŃSTWO.

— Mój mężusiu, ja już swoje zrobiłam. Namęczyłam się porządnie, ale obiad gotów. Teraz weźno się ty do roboty i zjedz go.

— Ba, tobie to łatwo mówić; zjedz go! Taki obiad daleko łatwiej jest zrobić, aniżeli zjeść.

Księgarnia Polska

Książki DO NABYCIA W POLSKIEJ KSIĘGARNI

Ceny książek podajemy z opakowaniem i przesyłką pocztową poleconą.

Drobne sumy przyjmujemy markami pocztowemi.

KSIĄŻKI SZKOLNE.

Elementarz Promyka w oprawie	400
Elementarz polski dla szkół początkowych, ułożył Roch Olszewski	400
Elementarz [mały] ułożył przyjaciel ludu	300
Pierwsze czytankiułoż. M. K.	1.000
Upominek	1.300
Snopek	1.300
Podarunek dla Młodzieży	2.000
Czytanki polskie ułożył Henryk Galle część I	1$200
Część II	1$200
Początki gramatyki języka polskiego z ćwiczeniami i przykładami przez Konr. Drzewieckiego	1$800
Podręcznik ortograficzny ul. Bog. Niew. Warnkówna	1$800
Ćwiczenia stylistyczne—ułoż. Bogucka, Niewiadomska i Warnkówna w opr.	2$200
Stopniowe opisanie świata w oprawie	700
Geografja (krótka) dla dzieci, napisała Anna Nałkowska cz I	800
cz. II.	1$200
Geografja cz I nap. Rudnicka i Dąbrowski	2$000
Geogr. szkolna elementarna nap. Anna Nałkowska, cz. II	2$000
cz. III	2$400
Geogr. fizyczna nap. Archibald Geikie	1$400
Nauka rachunków część I	500
Nauka rachunków część II	600
Teorja arytmetyki cz. wstępna.	
Cztery działania nad liczbami całkowitemi	1$100
— Z. Szczawiński S. kamiński	
Jak prowadzić naukę arytmetyki — Thomas	1$600
Teorja zadań arytmetycznych — Thomas	1$800
Teorja aryttmetyki oraz zbiór zadań Szczawiński i Kamiński	
Atlas historji naturalnej	7$000
Atlas Przyrodniczo geograficzny	6.500
państwa zwierzęcego—B. Dyakowski cz. I. w opraw. ozdobnej	7$000
cz. II. w oprawie ozdobnej	7$000
Zasady zoologji—W. Colier	1$200
Geologia—Archibald Geikie	1$500
Historja Polski — Chociszewskiego —w oprawie	1.800
Dzieje Polski—Anczyca, z obr. w opr.	2.000
Mała historja Polski — Bukowieckiej	1.400
Dzieje Polski, napisał Franek	700

KSIAZKI POUCZAJĄCE.

Gawędy i opowiadania z dziejów Polskich	400
Ciekawe zjawiska w świecie, opr.	800
nieoprawne	500
Jak się objawia życie ludzkie	500
Pogadanki o niebie i o ziemi z obr. w opr.	900
O powietrzu z obrazkami w oprawie	1$200
Jak się zachowywać w chorobach zakaźnych w oprawie	1$100
O wnętrzu ziemi z obrazkami w opr.	900
O morzach i lądach z obrazkami w oprawie	1$200
Poradnik dla kobiet które chcą być zdrowemi.	400
Zwierzęta ssące i ich życie i obyczaje z obrazkami w oprawie	1.600
Z blizka i z daleka z obrazkami w oprawie	1.600
Rośliny pokarmowe w różnych krajach z obrazkami w oprawie	1.400
Pogadanki o rozwoju ludzi przedhistorycznych z obrazkami w oprawie	1$000
Rośliny, zwierzęta i ludzie na kuli ziemskiej z obrazkami w oprawie	1$000
Domowa nauka oprawiania książek	400
Australja	700
Francja	800
Chińczycy	500
O zaćmieniu słońca i księżyca	500
Turcy	500
Włościańskie stowarzyszenia rolnicze	600
Zwierzęta przedpotopowe	500
Egipcjanie	600
Zwierzęta ginące i zaginione	500
Mały podręcznik weterynarji	500
Spiewy historyczne Niemcewicza .stron 46 w oprawie.	1.800
Opis Królestwa polskiego z obrazkami w oprawie	1.300

POWIEŚCI, OPOWIADANIA, PODRÓŻE

Powstanie Kościuszkowskie	700
Na nowym zagonie	600
O baranie który dawał się strzydz i zimą i latem	300
Przez Sudan 3 t. op.	2.400
nieoprawne	1.500
Przygody Mateusza Jarząbka	300
Dola jednej Magdy	300
O Kubie mądrali	400
Przygody Jakóba w oprawie	1.200
Przygody myśliwca	400
Sokole oko	300
Sfinsks lodowy, przygody podróżników w okolicach bieguna z obrazkami w oprawie	3.300
Czarownica	500
Michałko	300
Jurgis Durnialis	500
Sprawa o wóz	400
Młynarz z Zarudzia	600
Młyn na Pokusie	400
Nasze miasta	400
Przyjaciel koni	700
Z sierocej doli	600
Cztery powiastki	400
Duchy Czarnego boru	400
Powieści i baśnie zbiorek I.	500
" " " " II.	600
" " " III.	700
Mali bohaterowie	300
Rikityki	200
Żona z jarmarku	1.000
Ostatnie zdobycie Częstochowy [z powieści Huragan]	1300
Z krwawych dni 1 tom oprawny	1$200
nieopr.	800
Zwycięzca z pod Kircholmu	200
Z życia ludzi i zwierząt I.	400
" " " " II.	500
Scyzoryk	300
Tajemnicza Bandera i Flibustjerowie w oprawie	3.500
W Kalifornji w op,	2.000
Żołnierzyk burski w op.	2.000
Podróże Guliwera w op.	2.000
Ostatnie dni Pompei w op.	2.000
Jachowicz—wiersze i bajki, w oprawie	2.800
Powieść o dwóch miastach 3 tm. opr.	3$200
nieopr.	2$200
Opowiadanie Bartosza o Polsce	300
Męczennicy za wolność i lud	400
Niedola	1$500
Za wolność i lud	800
Bór	2$800
Żywot i dzieła Mikołaja Reja	400
Powstanie Narodowe	500
Ksiądz Mackiewicz	400
Pod Wiedniem	500
Zuch baba	300
Na bezdrożu [z życia Warszawskiego]	400
Wdowa kukała, siebie oszukała	300
Dwaj przyjaciele	300
Czarna krew 2 tomy oprawne.	2.200
Olbrachtowi rycerze 6 tomów opr.	6.000
nieoprawne	4.200
Na wyścigach 2 tom. oprawne	2.200
nieoprawne	1.500
Życie Hodowców Amerykańskich	
2 tomy oprawne	2.200
nieoprawne	1.500
Z ciężkich dni 2 tomy oprawne	2.200
nieoprawne	1.500
Pamiętnik ex-dziedzica 2 tomy op.	2.200
nieoprawne	1.500
Cecora 3 tomy oprawne	3.200
nieoprawne.	2.200
Podróż Polki do Persji 2 tomy op.	2.200
nieoprawne	1.500
Poruszymy z posad ziemię 4 tomy	2.800
Biała dama 2 tomy oprawne	2.200
nieoprawne	1.500
Ostatnia butelka 3 tomy oprawne	3.200
nieoprawne	2.500
Wygnaniec, — pow. z czasów wojny francusko-pruskiej w oprawie	1.000
Hołd pruski — powieść historyczna z XVI wieku w oprawie	900
Doczekali, — powieść w oprawie	800
Narzeczona Harambaszy w oprawie	1.300
Francja, opis kraju zwyczajów w oprawie	900
Romanowa w oprawie	900
Szwajcarja, opis kraju, ludzi i zwyczajów w oprawie	1.000
Bohater z pod Majuby, powieść z czasów wojny Boerów z Anglikami w oprawie	1.000
Na chlebie u dzieci w oprawie	1.000
nieoprawne	800
Zbrodnie polityczne 1 tom oprawny	1$200
Za świętą wiarę i mowę	400
Generał Jan Henryk Dąbrowski	400
Zygmunt Sierakowski	700
Żywot Stanisława Staszyca	400
Żywoty znakomitych Polaków	700
Pro Christo 2 tomy oprawne	2$200
nieopr.	1$500
Gasnące słońce cztery tomy opr.	4$500
nieopr.	3$500
Na Mi-Ko 2 tomy opr.	2$200
nieopr.	1$500
Maks Hawelarz 2 tomy opr.	2$200
nieopr.	1$500
Kipling — Bajeczki — w oprawie	2.000
Stefanowska—Życie w oceanie w opr.	3.000
J. Werne — Podróż do środka ziemi skrócona — w op.	2.500

—

ZBIOR. POWIEŚCI HISTORYCZNYCH J. I. KRASZEWSKIEGO. PRZEDSTAWIAJĄCYCH W FORMIE POWIEŚCIOWEJ

Dzieje od 9-tego do połowy 18-tego wieku.

Stara Baśń, 3 tomy	2.400
Lubonie, 2 tomy	1.900
Waligóra, 3 tomy	2.400
Bracia Zmartwychwstańcy, 3 tomy	2.400
Masław, 2 tomy	1.600
Boleszczyce, 2 tomy	1.600
Królewscy synowie, 4 tomy.	3.000
Historja prawdziwa o Petrku Właście, 2 tomy	1.600
Stach z Konar, 4 tomy	3.000

KSIĄŻKI DO NABOŻENSTWA.

Wielkie Officium	2$600
" " w oprawie ozdobnej	3$600
" " " skórkowej	4$200
" " " sk. ozdobnej	5$200
Officium (małe) opr. w pł. złocone	1$600
" " opr. ozdobna	1$900
" " w pół skórce	2$600
" " opr. w szagryn wyborowy	4$200
Gwiazda Zbawienia opr. w pł. złocone	1$600
" " w opr. ozdobnej	1$800
" " " "	2$600
" " " " w szagryn wyborowy	4$200
Służba Boża opr. w pł. złoc.	2$600
Służba Boża opr. w pł. ang.	3$600
" " opr. w półskórce	4$700
" " opr. w ozdobne płótno angielskie z wycisk. złoc.	6$200
Złoty Ołtarzyk opr. w płót. złocone	2$100
" " " lepsze płótno	3$100
" " w oprawie ozdobnej	3$600
" " opr. w półskórek	4$200
" " opr. w ozdobne płótno angielskie	6$100
Chwała na wysokości Bogu opr. ozd.	3$600
Proście, a będzie wam dano opr. w półskórek	4$200
Głos duszy,—opr. w płótno złocone	4$700
" " opr. prostsza	3$200
Bądź wola Twoja—wydanie ozdobne dla mężczyzn	5$200
" " " wyd. dla kobiet	7$200
Cicha łza—opr. w pł. złoc.	2.900
" " " ozd.	3.000
Zdrowaś Maryo opr ozd.	3$600
O naśladow Jezusa Chrystusa	2$200
Głos do Boga	3$100
Pismo Św. X Wujka, z illustracjami Dorego, wspaniałe wydanie in folio w pięknej oprawie	38$000
Pismo Św. w obrazach	19$000
Nowy testament	13$000

Ceny książek niżej wymienionych, podzne są bez doliczenia kosztów przesyłki pocztowej.

BIBLJOTECZKA MŁODZIEŻY SZKOLNEJ.

Żółw i Makolągwa, powiastka	300
Moi koledzy	400
Mały patrjota	300
Szare kaczątko. Duże i Małe	400
Królestwo grzybów.—Tocia	300
Bal u pani Żaby. Czarodziejska kukułka	400
Historja roku. Dziewczynka z zapałkami.	300
Brzydkie kaczątko.	300
Ropucha. Krasnoludek.	300
Za późno.	300
Lat temu 900.	300
Słoneczko. Na świeżem sianku.	300
Bracia Mowglego.	300
Rikki-tikki-tavi.	300
Obłoczek. Przygody rodziny Jeżów	200
Wędrówka Celinki. Wieszczka okruszyn.	300
Wojtuś. Michałek. Podejrzenie.	300
Oblężenie Berlina	300
Koza ojca Bartłomieja. Ze wspomnień kuropatwy.	300
Królewicz Bolko.	200
Wnuczka Kazimierza.	200
Pod Zbarażem.	400
Rycerz Błękitny.	400
Słowianie: uroczystości i obrzędy.	300
Bolesław Chrobry.	300
Zalew kopalni.	300
Legendy górnicze.	300
Wędrówka kwiatów.	200
Na łące. Amator jajecznicy.	300
Sierota. Nad Wisłą. Sikoreczka.	300
Bez. Scyzoryk. Biczyk. Sukienka.	300
Niewidomy. Kraszanki.	200
Rodzina królików. Muszka i pająk.	200
Bajki i wiersze.	400
Wybór wierszyków.	300
Bardzo dawno. Królestwo skał.	200
Przyjaciółki. Waluś.	300
Bez przewodnika.	400
Janko Cmentarnik.	300
Królowa niebios Legendy o M. Boskiej.	400
Koronacya Zygmunta Augusta.	300
Wybót poezji. — Lenartowicz. —	400
Wybór poezji —Kondratowicz. —	400
Wybór powiastek.	400
Upał. Sosna.	300
Wybór powiastek.	300
Kwiaty Idalki.	200
Cztery prządki. Robotnicy P. Jakóba. Zaleska	
Coś. Len.	300
Cień. Spiewak z pod strzechy.	300
Kot który chodził własnemi drogami. Słoniątko.	300
Swierszcz. Błędne ogniki.	200

BIBLIOTECZKA UNIWERSYTETÓW LUDOWYCH

Dym.	250
Banasiowa.	250
Nasza szkapa.	300
Niemczaki.	250
Siłaczka. Na pokładzie.	300
Antek.	300
Na wakacyach. Katarynka.	300
Siteczko. Czy pamiętasz?	300
Babunia.	300
Ogniwa.	300
Panna Antonina.	300
A... B... C...	300
Janko muzykant. Latarnik.	250
Wspomnienia z Maripozy. Jamioł. Organista z Ponikły	300
Bartek zwycięzca.	400
Czytanki polskie I.	1.000
Czytanki polskie II.	1.000
Sąd	300
W porębie. Przy robocie.	300
Tomek Baran.	400
Pewnego dnia.	500
Froim. Zając.	300
Łoktek na łożu śmierci. Tatarzy na weselu.	250
Upiór	400
Z dziennika starego dziada.	400
Profesor Milczek. Rejent Wątróbka.	250
W oknie. Nauczyciele sieroty.	300
Kazanie konfederackie. Ksiądz Marek.	300
Tadeusz Reyten.	300
Sawa. Pan Borowski.	400
Pieszo przez Czarny Ląd I.	400
Pieszo przez Czarny Ląd II.	400
Na Oceanie Atlantyckim.	300
Z puszczy amerykańskiej.	300
Kamizelka. Michałko.	300
W puszczy.	400
Wilk, psy i ludzie.	400
Wilki. Wesołego.	300
Ksiądz Piotr.	250
Chałat.	300
Zmierzch. Cokolwiek się zdarzy.	250
Łukasz Stempel.	250
Mundur. Jaszczult,	250
Dwie siostry. Przewoźnik.	250
Moja mówka pogrzebowa. Przypadek.	250
Gorzkie wspomnienia słodkiej nadziei.	300
Wspomnienia szkolne. Pomyłka. Przypadek.	500
Prządki. Ze wspomnień dziecinnego wieku.	300
Wawrzyńcowie.	300
Sielanka. Legenda żeglarska.	250
Portret króla Jana. Posłowie siewierscy.	250
Wieczór u gen. Kopcia. Wiązanka konwalii	250
Orso. Sachem.	300
Oracz. Filemon i Baucis. Nieprzespany sen pani Maciejowej.	250
Sarna. Literatura mojej żony. Nabożeństmo majowe.	300
Łusia Burlak.	400
Wiosna.	400
Dola.	300
Co się dzieje w gniazdach.	300
Kulisi.	450
Bokser.	200
Bitwa o chrążankę.	450
Ceme. Z legend dawnego Egiptu. W górach.	200
Wojciech Zapała.	200
W Winiarskim forcie.	200
Urbanowa.	200
Miłosierdzie gminy,	300
Wybór poezyi. — Lenartowicz. —	300
Wybór poezyi. — Kondratowicz. —	400
Janko Cmentarnik.	250
Niepłakany.	250

MOJE KSIĄŻECZKI.

Każda książeczka kosztuje 400 rs.

Antoś
Bal i koncert u sikorki
Baśń o kiesce złotosypce
Baśń o córce rybaka
Brylanty
Cudowny łabędź
Czerwony kapturek
Duch górski
Jaś i Małgosia
Jaśkowe dzieciństwo
Kot w butach
Marmuszka
Mysia norka
Mały roznosiciel gazet
O czterech muzykantach
O rybaku i złotej rybce
O siedmiu krukach
O szklanej górze, żywem źródle i dobrym synu
Pamiętnik pszczółki
Podziemny kwiatek
Przygody Zosi Wędrowniczki
Sakiewka
Spiąca królewna
Śnieżka
Stoliczku, nakryj się
Sarb ukryty
Szaraczek i Bielasek
Stach zaczarowany
Tomcio Paluch
Wieszczka kwiatów
Z sierocej doli
Złote włosy